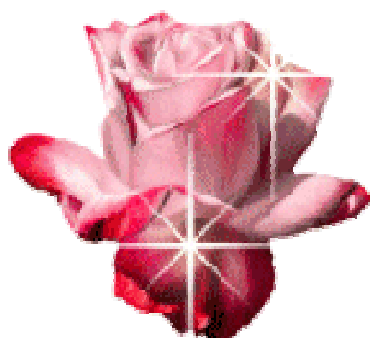




***Nora Roberts***



***Matka i córka***

Tytuł oryginału: ***Her Mother 's Keeper***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Taksówka pędziła między samochodami w okolicy terminala, po czym opuściła centrum Nowego Orleanu i skierowała się na południe. Gwen obtarła czoło, znużona skwarem Luizjany. Zmieniła pozycję, by odkleić od pleców batystową bluzkę w kolorze kości słoniowej, lecz była to złudna ulga. Zerknąwszy przez okno, pomyślała smętnie, że lipcowe słońce nie zmieniło się ani na jotę w ciągu dwóch lat jej nieobecności, zmieniła się jedynie Gwen. Mech hiszpański wciąż oplatał przydrożne drzewa. Zalane słońcem popołudnie wyglądało jak z bajki. W powietrzu unosił się ciepły zapach kwiatów. Gwen patrzyła na odległe bagna, wspominając charakterystyczną ospałość, której tak jej brakowało podczas pobytu na Manhattanie. Cóż, to prawda, zmieniła się tylko ona. Dojrzała.

Kiedy ledwie skończywszy dwadzieścia jeden lat, opuściła Luizjanę, chodziła z głową w chmurach, lecz teraz, mając dwadzieścia trzy lata, była bardzo dojrzała i zgromadziła bogate doświadczenia życiowe. Jako asystentka redaktora działu mody magazynu „Styl” nauczyła się dotrzymywać terminów, uspokajać rozhisteryzowane modelki, a także, dla równowagi duchowej, znajdować czas na odrobinę życia prywatnego. Potrafiła w obcym mieście radzić sobie bez pomocy przyjaznych osób, zwalczyła nostalgię za domem, która dręczyła ją przez kilka pierwszych miesięcy pobytu w Nowym Jorku. Wymazała ze swojej duszy poczucie zagubienia i paraliżujący strach przed samotnością. Poradziła sobie z szokiem wywołanym zamianą kwitnących ogrodów na betonową dżunglę. Jednym słowem – zwyciężyła. Dziewczyna z małego miasteczka z Południa dała sobie radę całkiem sama. Teraz zaś przybyła do domu nie tylko z rodzinną wizytą, lecz głównie po to, by wypełnić misję. Skrzyżowała ręce na piersi w mimowolnym geście determinacji.

Kierowca zerknął w lusterko wsteczne, by nacieszyć wzrok intrygującą blondynką z burzą loków do ramion. Gwen miała harmonijne kości policzkowe, jednak dosyć ostre rysy sprawiały, że wyglądała nad wyraz pochmurnie. Ogromne brązowe oczy zapatrzyły się w dal, usta miała ściągnięte. Nie odpowiadała wizerunkowi promiennej, radosnej, pięknej dziewczyny. Była piękną, zafrasowaną młodą damą. Nieświadoma faktu, że taksówkarz ją obserwuje, zmarszczyła brwi w głębokiej zadumie. Krajobraz stracił ostrość, w ogóle znikł.

Jak licząca czterdzieści siedem lat kobieta mogła się okazać tak naiwna? Robi z siebie kompletną idiotkę. To prawda, matka zawsze była bujającą w obłokach marzycielką, ale coś takiego?! To wszystko jego вина. Zmrużyła oczy, czując narastającą złość. Na myśl o Luke'u Powersie, znanym powieściopisarzu i scenarzyście, pożądanym kawalerze i podróżniku, aż fuknęła z furii. Przecież to podła kanalia! – dodała w myślach, ściskając w dłoniach skórzaną aktówkę, jakby zamierzała skrócić komuś kark. Trzydziestopięcioletni łajdak. Cóż, panie Powers, twój romans z moją matką właśnie dobiegł końca. Zaraz spakujesz manatki. Takim czy innym sposobem doprowadzę do tego, że znikniesz z jej życia.

Zdmuchnęła grzywkę z oczu, rozkoszując się wizją, jak to Luke Powers znika z życia matki. Prychnęła, przerzucając kartki jego nowej książki. Cóż, gdzie indziej będzie musiał zdobyć materiały na nową powieść, bo jej matki nie zdobędzie, to dla niego teren zakazany. Zmarszczyła brwi na myśl o jej listach. Przez ostatnie trzy miesiące pisała tylko o nim. Jak pomaga jej pielic ogródek, jak zabiera ją do teatru, jak wbija gwoździe. A niech to, okazał się niezastąpiony!

Na początku w ogóle nie zwracała uwagi na bezustanne odwołania do Luke'a. Dobrze знаła entuzjastyczny stosunek matki do ludzi, jej emfatyczny,

sentymentalny sposób bycia. Poza tym Gwen skupiała się przede wszystkim na własnym życiu, na własnych problemach. Wróciła myślami do Michaela Palmera – praktycznego, błyskotliwego, samolubnego, lecz i godnego zaufania Michaela. Na wspomnienie o tym, jak zawałiła ten związek, poczuła przygnębienie. Ze smutkiem skonstatowała, że Michael zasługiwał na znacznie więcej, niż była mu w stanie dać. Zmartwiła się na myśl o tym, że nie zdołała w pełni otworzyć się przed nim. Chroniła ciało i umysł, nie potrafiąc lub nie chcąc się zaangażować. Pocieszające jednak było to, że choć z Michaelem poniosła sromotną porażkę, to odniosła olbrzymi sukces zawodowy.

Powszechnie się sądzi, że świat mody to środowisko wytworne i eleganckie, pełne pięknych ludzi uczestniczących w przyjęciach. Gwen wiedziała jednak doskonale, jak bardzo nierzeczywiste są te wyobrażenia. Tak naprawdę świat mody to szaleńcza, gorączkowa, wyczerpująca praca w otoczeniu kapryśnych artystów, rozhisteryzowanych modelek i niewykonalnych terminów. A ja świetnie sobie z tym wszystkim radzę, pomyślała, prostując ramiona. Gwen Lacrosse nie bała się ani ciężkiej pracy, ani trudnych wyzwań.

Wróciła myślami do Luke'a Powersa. Matka zbyt czule i zbyt często o nim pisała. Ostatnie trzy miesiące napawały ją coraz większą obawą, dlatego poprosiła o urlop. Nikt inny oprócz niej nie ochroni matki przed tym kobieciarzem.

Nie onieśmielała jej pisarska sława ani podejrzana reputacja. Może być groźnym przeciwnikiem, jednak ona wie, jak sobie z nim poradzić. Problem matki polega na tym, że za bardzo ufa innym i widzi tylko to, co chce zobaczyć. Dostrzega w ludziach jedynie zalety, pomija wady. Kiedy Gwen uśmiechnęła się, jej twarz wypiękniała. Już ja się zajmę matką, pomyślała. Jak zwykle.

Alejka prowadząca do rodzinnego domu otoczona była drzewami magnolii. Taksówka wjechała między cienie rzucane przez pachnące rośliny, a Gwen poczuła się wprost wspaniale. Zapach glicynii dotarł do niej, zanim zza zakrętu wyłonił się trzypiętrowy budynek z pobielanych cegieł, z francuskimi oknami i żelaznymi balkonami o balustradach jak koronka. Weranda rozciągała się na całej frontowej ścianie, po której swobodnie pięły się glicynie. Dom nie był tak stary i wyrafinowany jak większość innych budowli sprzed wojny secesyjnej, miał jednak urok i wdzięk tamtych czasów. Gwen uświadomiła sobie, że ten dom doskonale pasował do matki. Był tak samo delikatny, niepraktyczny i uroczy. Trochę bajkowy.

Kiedy taksówka zatrzymała się na podjeździe, Gwen rzuciła okiem na trzecie piętro. Znajdowały się na nim cztery niewielkie pokoje przerobione na apartamenty dla gości, a tak naprawdę lokatorów, których pieniądze pozwalały zachować w rodzinie tę rezydencję i utrzymywać ją w dobrym stanie. Gwen żyła w przyjaznych stosunkach z gośćmi, dziś jednak gniewnie patrzyła na ostatnie piętro. W jednym z pokoi rozgościł się Luke Powers. Nie na długo, przyrzekła sobie, wysiadając z taksówki z wysoko uniesioną głową.

Gdy płaciła za przejazd, dobiegł ją jednostajny hałas. W ogrodzie, tuż przy kwitnącej kamelii, jakiś mężczyzna rąbał drzewo. Nie miał na sobie koszuli, dżinsy luźno wisiały mu na biodrach. Plecy i ramiona miał opalone, umięśnione i błyszczące od potu. Ciemnobrązowe włosy z jaśniejszymi pasemkami świadczyły o długim przebywaniu na słońcu. Na szyję i czoło lekko opadały zakręcone kosmyki.

Wyglądał na wysportowanego i pewnego siebie mężczyznę. Stał mocno na nogach, bez wysiłku machając siekierą. Wprawdzie nie widziała jego twarzy, ale z całej jego postawy biła radość z wysiłku, z wyzwania. Przystanąła na podjeździe, podziwiając surową, dziką męskość, zuchwałą sprawność

ruchów. Siekiera spadała na pień z brutalnym wdziękiem. Pierwszy raz od dawna obserwowała faceta, który wykonywał tak prostą, tak podstawową fizyczną pracę. Jej znajomi kontentowali się bieganiem po Central Parku. Przyglądała się z uwagą jego ruchom, napiętym mięśniom. Siekiera, drzewo i mężczyzna stanowili idealną całość. Dotarła do niej stara prawda, że prostota bywa piękna, wprost zjawiskowa.

Drzewo się zatrzęsło, zajęczało, a następnie z hukiem upadło na ziemię. Gwen klasnęła w dłonie i zawołała:

– Nie krzyknąłeś: „uwaga, spada!”.

Starł pot z czoła i odwrócił się w jej stronę. Za jego plecami świeciło słońce, przez co nie mogła mu się wyraźnie przyjrzeć. Aura światła podkreślała wysoką, smukłą sylwetkę i lekko kręcone włosy. Wyglądał jak pogański bóg męskości. Oparł siekiere o powalony pień i podszedł do Gwen. Poruszał się z ową przedziwną gracją traperów, jakby tropił zwierzynę. Z powodu słońca nie widziała jego twarzy, przez co stał się dla niej symbolem męskiej siły wzbudzającej i respekt, i... podniecenie.

Przysłoniła ręką oczy.

– Świetnie ci poszło – rzekła z uśmiechem, zafascynowana tą pierwotną, nieskomplikowaną męskością. Tak bardzo nudziły ją już trzyczęściowe garnitury i gładkie dłonie. – Mam nadzieję, że publiczność cię nie peszy.

– W żadnym razie. Ludzie rzadko doceniają dobrą robotę – odparł leniwie. Akcent zdradzał, że nieznajomy nie wywodził się z Luizjany. Ujrawszy w końcu jego twarz, zdumiała ją płynąca z niej siła, której męskość podkreślała nieogolona broda. Była wąska i wyrazista. Mężczyzna miał długie kości policzkowe i dołeczek w brodzie. Przeszywał ją spojrzeniem błękitnych, spokojnych oczu o inteligentnym wejrzeniu, okolonych gęstymi brwiami. Ten spokój wyrażał siłę, która dominowała nad innymi. Był świadom swojej

wartości. Jego spojrzenie wywołało w Gwen pewien dyskomfort. Wyglądał, jakby potrafił czytać w myślach.

– Masz talent do radzenia sobie z oporną materią.

– Dostrzegła, że zachowywał rezerwę, ale nie taką obraźliwą, wynikającą z braku zainteresowania innymi ludźmi. Nie jest wylewny, zachowuje dystans, pomyślała, obdarzony jest jednak ciepłem, tyle że nie każdego nim obdarza. – Nigdy nie widziałam, by ktoś powalał drzewo z taką finezją. – Znow się uśmiechnęła. – Nie jest łatwo machać siekierą w taki skwar.

– Jeśli masz na sobie tyle ciuchów... – Rzucił okiem na jej bluzkę, spódnicę, rajstopy, znow na twarz. Nie było w tym ani bezczelności, ani podziwu, zwykła obserwacja.

Spojrzała na niego z nadzieją, że na jej twarzy nie wykwitł rumieniec.

– Jadę tu prosto z lotniska, a nie byczę się od nie wiedzieć jak dawna na łonie natury. – Nie skrywała złości, co wywołało na jego twarzy uśmiech.

Sięgnęła po walizki, lecz nieznajomy ją uprzedził. Odsunęła się gwałtownie, czując narastającą falę ciepła. Zaskoczona własną reakcją, utkwiała wzrok w jego spokojnych oczach. Zganiła się, usiłując wyrównać oddech. Wariatka! Do tego patrzył na nią uważnie, widział to zaskoczenie, zmieszanie i złość. W jej oczach można było czytać.

– Dziękuję – odrzekła w miarę spokojnie. – Nie chciałabym odrywać cię od pracy.

– Nie ma pośpiechu. – Uniósł walizki.

Ruszyła za nim. Nawet na obcasach ledwie sięgała mu do ramienia.

– Od dawna tu mieszkasz?

– Od pięciu miesięcy. – Przyjrzał się jej z uwagą.

– Gwenivere, na żywo wyglądasz o wiele lepiej niż na zdjęciu. Ciepło i bezbronne. – Otworzył drzwi.

Chwyciła go za ramię i spytała zdumiona:

– Skąd znasz moje imię?

Weszli do środka.

– Matka bez przerwy o tobie mówi. – Odstawił walizki w chłodnym korytarzu. – Jest z ciebie bardzo dumna.

– Gdy uniósł jej brodę, była zbyt zaskoczona, by zaprotestować. – Jesteś piękna, lecz w inny sposób niż matka. Ona jest delikatniejsza, przyjaźniej sza, bardziej swojska. Ty wyglądasz ostrzej, wręcz drapieźnie. – Patrzył na nią zafascynowany. Gwen zamarła, czując niemal płynące od niego ciepło. – Matka się martwi, że mieszkasz sama w Nowym Jorku.

– Tam nigdy nie jest się samym. Samotność w Nowym Jorku to wyrażenie wewnętrznie sprzeczne.

– Zmarszczyła brwi. – Nie wspominała, że się o mnie martwi.

– To oczywiste! Wówczas ty zaczęłabyś się martwić, że ona się martwi, ona, że ty się martwisz, bo ona się martwi... uff, samonakręcająca się spirala zmartwień.

– Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Nie okazała, jak ten czarujący i nieodparty uśmiech jej się spodobał.

– Dobrze znasz moją matkę. – Ten uśmiech... zaraz, ten uśmiech! Poczwała, jakby uderzył ją piorun. – To ty jesteś Luke Powers!

– Owszem. – Uniósł brwi, słysząc oskarżycielski ton.

– Podoba ci się moja ostatnia książka?

– Nie podoba mi się ta, którą teraz piszesz.

– Serio? – Zaciekawiała go i zarazem rozbawiła ta gniewna reakcja.

– Zwłaszcza to, że piszesz ją w tym domu.

– Masz jakieś zastrzeżenia moralne, Gwenivere?



– Wątpię, czy wiesz cokolwiek na temat moralności – odparła wzburzona. – I proszę, nie nazywaj mnie tak. Tylko matka tak do mnie mówi.

– Szkoda. To takie romantyczne imię. Czy romantyzm też ci się nie podoba?

– Jeśli dotyczy mojej matki i filmowego Casanovy, który jest od niej młodszy o lata świetlne. Zresztą jest na to inne określenie.

Z twarzy Luke'a zniknęła wesołość.

– Rozumiem... Więc słucham, jakie to określenie?

– Och, szkoda słów na twoje postępowanie. Wiedz tylko, że tego nie toleruję.

– Naprawdę? – odparł z niebezpiecznym chłodem.

– A twoja matka nie ma w tej sprawie zupełnie nic do powiedzenia?

– Ona jest zbyt łagodna, zbyt łatwowierna i naiwna.

– Spojrzała mu prosto w twarz. – Nie pozwolę, byś robił z niej idiotkę.

– Droga Gwenivere – odparł swobodnie – sama zachowujesz się jak idiotka.

W korytarzu rozległ się dźwięk obcasów.

– Mamo! – Gwen wpadła w pachnące liliami ramiona.

– Gwenivere! – Głos Anabelle był niski i słodki jak jej ulubione perfumy.

– Co ty tu robisz?

– Mamo... – Odsunęła się, spojrzała jej w twarz. Kremowa, niemal idealnie gładka skóra, okrągłe, niebieskie oczy, różowe, delikatne usta i dwa dołki w policzkach. Tak śliczna, delikatna... taka swojska. – Nie dostałaś listu?

– Wsunęła jej za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Pewnie, że dostałam! Miałaś przyjechać w piątek.

Gwen z uśmiechem pocałowała ją w policzek.

– Dziś jest piątek.

– Wiem, ale myślałam, że chodzi ci o następny i... zresztą, co za różnica! Niech ci się przyjrzę – spojrzała na nią z uwagą, by zobaczyć wysoką, uderzającą pięknosć przywodzącą mgliste wspomnienia męża. Nie żył już ponad dwadzieścia lat, a Anabelle przypominała sobie o nim tylko wtedy, gdy patrzyła na córkę. – Ale z ciebie chudzina. Czyżbyś się tam głodziła?

– Czasem coś zjem. – Wciąż przyglądała się matce. To ma być kobieta tuż przed pięćdziesiątką? – Wyglądasz zjawiskowo! Cóż, zawsze tak wyglądałaś.

Anabelle zaśmiała się promiennie.

– To dzięki tutejszemu klimatowi. Nie jak smog czy śnieg gdzieś tam. – Nowy Jork dla Anabelle zawsze był „gdzieś tam”, „taki” czy „owaki”. – Luke, podejdź tu! Poznałeś już Gwenivere?

– Tak. – Uniósł lekko brwi. – Jesteśmy już jak starzy znajomi.

– Właśnie. – Gwen uśmiechnęła się, nie ociekała jednak słodyczą. – Nieźle się już poznaliśmy.

– Cudownie! – ucieszyła się Anabelle. – Chcę, byście się polubili – paplała radośnie. – Gwen, masz ochotę na filiżankę kawy, czy wolałabyś najpierw się odświeżyć?

– Najpierw kawa – odrzekła, starając się opanować drżenie głosu. Uśmiech Luke'a wyraźnie wytrącał ją z równowagi.

– Zaniosę ci na górę walizki – zaproponował Luke.

– Dziękuję, kochanie – odrzekła Anabelle, zanim Gwen miała szansę zaprotestować. – Uważaj na pannę Wilkins albo włóż koszulę. Jeśli zobaczy twoje mięśnie, na pewno dostanie spazmów. Pani Wilkins jest moim gościem – wyjaśniła córce, prowadząc ją korytarzem. – Kochana, płochliwa duszyczka. Uwielbia malować akwarelami.

– Aha – odparła niezbyt przytomnie Gwen, rzucając okiem przez ramię. Luke odprowadzał je wzrokiem, cały skąpany w słońcu. Pogański bóg... – Aha...

Kuchnia wyglądała tak, jak Gwen ją zapamiętała: olbrzymia, słoneczna i nieskazitelnie czysta. Tillie, wysoka i chuda jak szczapa kucharka, stała przy piecyku.

– Witam panienkę! – rzuciła, nie odwracając się.

– Kawa prawie gotowa.

– Witaj, Tillie. Och, jak cudownie pachnie.

– Szykuję jambalayę.

– Moje ulubione danie – ucieszyła się Gwen, spoglądając na uroczo brzydką twarzyczkę. – A podobno nikt się mnie dziś nie spodziewał.

– To prawda.

Gdy Tillie wróciła do mieszania sosu, Gwen cmoknęła ją w policzek i spytała:

– Jak leci?

– Raz lepiej, raz gorzej. – Jednak kucharka jaśniała zadowoleniem z życia, zaraz jednak spochmurniała.

– A co z tobą? Jakoś marnie wyglądasz.

– Ludzie tak powiadają – z uśmiechem odparła Gwen. – Masz cały miesiąc, żeby mnie podtuczyć.

– Czy to nie cudowne, Tillie? – wtrąciła się Anabelle, która układała na stole serwis do kawy. – Moja córka zostanie cały miesiąc. Może urządzimy przyjęcie? Mamy teraz trójkę gości, Luke'a, pannę Wilkins i pana Stapletona. Też jest artystą, tyle że specjalizuje się w malarstwie olejnym. Ma prawdziwy talent.

– Podobno Luke Powers też ma talent – stwierdziła Gwen, siadając naprzeciw matki, która naląła jej kawy.

– To prawda, Luke jest szalenie uzdolniony – zgodziła się Anabelle z dumą. – Pewnie czytałaś jego książki albo widziałaś filmy. Niesamowite! Bohaterowie są tacy prawdziwi, a już te sceny miłosne... Po prostu słabnę z nadmiaru emocji, tak są piękne, wyraziste.

– W jednym z jego filmów wystąpiła naga kobieta – rzuciła oburzona Tillie.

– Tillie uważa – ze śmiechem skomentowała Anabelle – że Luke doprowadził do moralnego upadku teatru, i dokonał tego zupełnie sam.

– Całkiem nagusieńka – prychnęła kucharka.

Choć Gwen była pewna, że Luke Powers i moralność to dwa przeciwległe bieguny, nie podzieliła się tą refleksją, tylko rzuciła swobodnie:

– To prawda, wiele już osiągnął. Kilka bestsellerów, filmy bijące rekordy popularności, a ma zaledwie trzydzieści pięć lat.

– No właśnie – z zapalem poparła ją Anabelle.

– Osiągnął więcej, niż wielu znanych pisarzy przez całe długie życie, a przy tym nie znam bardziej uroczonego i miłszego faceta. Jest dla mnie taki dobry. Czuję się przy nim zupełnie inną kobietą.

Gdy na takie dictum Gwen zachłysnęła się kawą, Tillie klepnęła ją w plecy.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Tak, tak. – Odetchnęła głęboko, patrząc w niewinne oczy matki. – Pójdę teraz do siebie.

– Pomogę ci – zgłosiła się Anabelle.

– Dam sobie radę. – Poklepała matkę po ramieniu.

– To nie potrwa długo. Rozpakuję się, wezmę prysznic, przebiorę się i za godzinę będę z powrotem. – Potrzebowała tej godziny, by uspokoić myśli. Spojrzała na gładką, piękną, promienną twarz Anabelle i poczuła się jak staruszka. – Kocham cię, mamo. – Pocałowała ją w policzek.

Idąc do pokoju, planowała nową strategię. Niewiele była w stanie zrobić, by zniechęcić matkę do związku z Lukiem Powersem. Musiała dotrzeć do samego źródła. Szukała właściwego określenia dla Luke'a, lecz nie przyszło jej do głowy nic wystarczająco plugawego.

RRS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Pokój zalało słoneczne światło. Gwen otworzyła okna ozdobione jasnożółtymi zasłonami, pasującymi do tapet w kwiatowe wzory. Sypialnię wypełniła woń rosnących w ogrodzie kwiatów, dumy Anabelle. Przeświecające przez wiekowy cyprys słońce tworzyło na trawniku wzór pajęczej sieci. W powietrzu rozchodził się śpiew ptaków, któremu wtórowało brzęczenie pszczoł. Za dębowym laskiem rozciągały się bagna. Gdzieś zniknęły, zostały w innym świecie zatłoczone ulice Nowego Jorku. Gwen wybrała metropolitalne życie ze względu na wyzwania, jednak powrót do domu był niczym słodki deser po sycącym posiłku. Nagle poczuła się swobodna, beztroska. Nucąc coś, udała się pod prysznic.

Matka znów zapadła w romantyczny nastrój, pomyślała Gwen, gdy woda splukiwała zmęczenie po podróży. W ogóle mnie nie rozumie. Lecz czy ja sama siebie rozumiem? Smętnie pokiwała głową, myśląc o Michaelu.

Natomiast matkę rozumiała doskonale i za nic nie pozwoli, by Luke ją skrzywdził. Nie dopuści do tego, by zrobił z niej idiotkę. Sukces i urok przyzwyczyły go do tego, że zawsze dostaje to, czego zapragnie. Znała atrakcyjnych, odnoszących sukcesy ludzi i wiedziała, jak sobie z nimi radzić. Była gotowa do walki.

Energicznie wytarła włosy, narzuciła szlafrok i wróciła do pokoju.

– Luke! – krzyknęła, zawiązując ciasno szlafrok, gdy ujrzała intruza, który stał przy toalecie. – Do diabła, co robisz w moim pokoju?

Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem. Krótki szlafrok ukazywał nogi i niemal chłopięcą, smukłą figurę. Oczy bez makijażu wydawały się ogromne, ciemne i intrygująco urocze. Luke z fascynacją patrzył na falujące loki, gdy Gwen gwałtownie pokręciła głową.

– Anabelle uznała, że ci się spodobają. – Wskazał świeże, żółte róże, wciąż jednak nie spuszczał wzroku z Gwen.

Zmarszczyła brwi.

– Powinieneś był zapukać – odparła nieprzyjaźnie.

– Pukałem, ale nie odpowiedziałaś. – Podeszedł do Gwen i dotknął jej policzka. – Masz piękną skórę, jak płatki róży skąpane w deszczu.

– Do diabła! – Gwałtownie strąciła jego dłoń i odsunęła się. – Nie dotykaj mnie. – Odrzuciła włosy z twarzy. – Więcej tego nie rób, jasne?

– Lubię czuć pod palcami to, co budzi mój podziw. – Zmrużył oczy na jej nieprzyjazny ton, choć sam mówił jak najbardziej przyjaźnie.

– Nie chcę, żebyś mnie podziwiał.

– Nie powiedziałem, że podziwiam ciebie, tylko że podoba mi się twoja skóra. – Sam się roześmiał na to pokretne wyjaśnienie.

– Więc jej nie dotykaj – rzuciła ostro, pragnąc, by ciepło palców Luke'a jak najszybciej ulotniło się z jej policzka. – Mojej matki też.

– Dlaczego myślisz, że dotykam Anabelle? – zapytał, wachając butelkę perfum.

– Wywnioskowałam to z jej listów. – Zabrała mu flakonik i odstawiła na toaletkę. – Od miesiący pisała wyłącznie o tobie, o wspólnych wyjściach do teatru, na zakupy, jak naprawiałeś jej samochód, pryskałeś brzoskwinie, a zwłaszcza jak nadałeś jej życiu nowy sens – wyliczała wzburzona, miotając się po pokoju, łapiąc i odrzucając grzebień, przestawiając bibeloty, poprawiając serwetkę na stoliku. Bezpośrednie, niewzruszone spojrzenie Luke'a wyraźnie działało jej na nerwy.

– I z tego wywnioskowałaś, że mamy romans.

– A jest inaczej? – Ten jego ton głosu... Poczula się zdeprimowana. Czyżby kpił sobie z niej? Ma takie piękne usta, pomyślała całkiem bez związku z sytuacją. Wściekła na siebie, uniosła głowę. – Zaprzeczysz, co?

Wsunął ręce do kieszeni, podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz.

– Po prostu powiem, że to nie twój interes.

– Nie mój... – Aż się zatchnęła ze złości. – Nie mój interes? Przecież to moja matka!

– Owszem, lecz także kobieta, normalna kobieta.

– Przyglądał się jej z uwagą. – A może tak jej nie postrzegasz? W takim razie najwyższy czas, byś zaczęła. Jak sędzę, Anabelle nie wtrąca się do twoich związków.

– To zupełnie inna historia! – Gwen gotowała się ze złości. – Nie mam ochoty słuchać, jak się wymądrzasz na jej temat. Możesz się obnosić z romansami z aktorkami i innymi sławami, ale...

– Dziękuję. Cieszę się, że mam twoje pozwolenie.

– Nie dopuszczę, byś się afiszował romanssem z moją matką! Powinieneś się wstydzić, o ile coś takiego w ogóle jest ci znane. Uwodzić starszą o tyle lat kobietę!

– Oczywiście nie byłoby problemu, gdybym to ja był starszy – rzucił sarkastycznie.

– Tego nie powiedziałam. – Zmarszczyła brwi.

– Jesteś zbyt inteligentna, by tak myśleć. Zaskakujesz mnie.

Łagodny głos Luke'a doprowadzał ją do szału.

– Wcale tak nie myślę – zaprzeczyła ostro, zarazem jednak poczuła się trochę zdeprimowana jego argumentami, co odbiło się na jej twarzy. Pretensja, nadąsanie...

Oczy Luke'a spoczęły na jej ustach.



– Niezwykle prowokacyjna mina... Już ją widziałem, lecz wciąż mnie intryguje... – Ku wielkiemu zaskoczeniu Gwen, objął ją i dodał z uśmiechem: – Mówiłem, że lubię dotykać tego, co budzi mój podziw. – Próbowała się wyrwać, lecz trzymał ją mocno, muskając ustami jej twarz.

Było to całkiem... przyjemne.

Bezbronna Gwen pozwoliła się objąć i całować. Przez cienki szlafrok czuła twarde mięśnie Luke'a. Połączyli się, jakby było to zapisane w gwiazdach. Gwen nagle zrobiło się gorąco, pocałunki Luke'a stawały się coraz śmielsze, gwałtowniejsze...

Z rozkoszą odpowiedziała tym samym. Wspięła się na palce. Ocierając się o szorstką brodę Luke'a, poczuła, jak serce zaczyna jej bić mocniej. Zastłonami poruszyła subtelna bryza, jednak Gwen nie odczuła chłodniejszego powiewu. Luke powiódł dłonią po jej plecach, złapał za biodra i odsunął od siebie.

Obrzuciła go mrocznym spojrzeniem. Nigdy dotąd żaden pocałunek tak jej nie poruszył. Nigdy też nie poczuła podobnego ognia i pragnienia. Głodne pocałunków usta drżały...

Luke dotknął jej loków, po raz ostatni musnął wargi Gwen.

– Smakujesz tak samo dobrze, jak wyglądasz.

Natychmiast przypomniała sobie, kim jest i gdzie się znajduje. Ogień namiętności przemienił się w furję. Gwałtownie odepchnęła Luke'a.

– Jak mogłeś?!

– Och, to nic trudnego, zapewniam. Gwen z obrzydzeniem potrząsnęła głową.

– Jesteś podły.

– Dlaczego? – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Bo dzięki mnie na moment się zapomniałaś? Ja zresztą też – dodał z wyraźnym zadowoleniem. – Czy drogą analogii ty też jesteś podła?

– Ja nie... To ty... Ja tylko... – Głos uwiązał jej w gardle.

– Trudno cię zrozumieć.

– Zostaw mnie. – Szarpnęła się gwałtownie. – Puszczaj mnie!

– Oczywiście – odparł uprzejmie, poprawiając nieład na jej głowie. – Któregoś dnia możesz stać się podobna do matki.

– No nie! – Gwen zbladła ze złości. – Jesteś obrzydliwy.

– Gwenivere, nie chodzi mi o twoje wyjątkowe cechy fizyczne. – Luke już nie uśmiechał się, tylko mówił z powagą. – Anabelle to jedyna znana mi osoba, która w każdym potrafi znaleźć coś pozytywnego. To jej największa zaleta. – Widział, jak Gwen się uspokaja.

– Radzę ci, wykorzystaj ten czas i spróbuj lepiej poznać własną matkę. Może cię jeszcze zadziwić.

– Mówiłam już – odparła lodowato – byś mnie nie pouczał w sprawie matki.

– Mam tego nie robić? – Ruszył do wyjścia. – W takim razie skupię się na pouczeniu cię w twojej sprawie. Do zobaczenia na kolacji.

Salon miał kolor i zapach róż. Anabelle urządziła go w swoim delikatnym, kobiecym stylu. Fotele były małe i eleganckie, leżały na nich różowe poduszki. Do tego śliczne, z wyglądu kruche lampy i przywieszony z Francji dywaniki. Nawet gdy Anabelle tam nie było, wyczuwało się jej obecność.

Gwen patrzyła przez okno, natomiast jej matka wesoło gawędziła. Niebo zaczęło przybierać barwy zachodzącego słońca. Jego żar o wiele bardziej pasował do nastroju Gwen niż delikatny wystrój pokoju. Przyłożyła dłoń do

szyby, jakby chciała dotknąć tej eksplozji natury. Wciąż dochodziła do siebie po wybuchu namiętności do Luke'a, faceta tak naprawdę dla niej zupełnie obcego.

Po raz setny powtarzała sobie, że to nie miało znaczenia. Byłam zmęczona, miałam mętlik w głowie, pewnie przesadziłam w odbiorze, dużo dodałam, wymyśliłam. A wszystko przez to, że jest taka spięta.

Dotknęła ust językiem, lecz nie odnalazła podniecającego smaku, który pozostał w jej głowie. Tak, na pewno wyolbrzymiła to wszystko.

– Miesiąc urlopu to całkiem sporo – stwierdziła Anabelle, przerzucając zawartość koszyka z haftami.

Gwen wzruszyła ramionami.

– Zależy, jak na to patrzeć. Od dwóch lat nie miałam prawdziwych wakacji.

– Wiem, kochanie. Zbyt ciężko pracujesz.

Błękitna sukienka pasowała do Gwen, lecz Anabelle zauważyła jedynie, jak szczupła jest jej córka. Po prostu chuda jak szczapa. Ostatnie promienie słońca oświetliły włosy Gwen, przez co zmieniły się w burzę różowych i złotych loków. Anabelle zastanawiała się, kiedy jej córka zdążyła skończyć dwadzieścia trzy lata.

– Zawsze próbowałam osiągnąć więcej niż inni. Masz to po ojcu. Jego matka ma dwie pary bliźniaków. To dopiero wynik!

Gwen przyłożyła czoło do szyby, co dziwnie dobrze jej zrobiło.

– Mamo, kocham cię.

– Ja też cię kocham, skarbie – odparła zadumana Anabelle, wyszukując odpowiednie nici. – Nic nie mówisz o tym młodym mężczyźnie, z którym się spotykasz. O tym adwokacie. Michael, prawda?

– Owszem – odparła oschle. Wraz z nastaniem mroku pojawiła się osobliwa, niemal nabożna cisza. Gwen westchnęła. Czas zmierzchu to czas najcenniejszy i najbardziej ulotny. Z zadumy wyrwała ją melodia wygrywana przez świerszcza. – Już się z nim nie widuję.

– Szkoda... – Anabelle wyraźnie się zmartwiła. – Pokłóciliście się?

– I to nie raz. Raczej nie nadaję się na partnerkę prawnika. – Gwen przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. – Kultuwuję zbyt wiele głęboko zakorzenionych plebejskich wartości. Najważniejsze są dla mnie chwile odpoczynku.

– Cóż, mam nadzieję, że rozstaliście się w dobrych stosunkach.

Gwen zdusiła w sobie ironiczny śmiech na wspomnienie tamtej sceny.

– Jestem pewna, że będziemy sobie wysyłać kartki świąteczne.

– To dobrze. – Anabelle nawlekła nić do igły. – Starzy znajomi są najcenniejsi.

Spojrzała na matkę z uśmiechem, który natychmiast zgasł, gdy w drzwiach ujrzała Luke'a. Gwen zadrzała. Między starannie ogolonym, zwyczajnie ubranym mężczyzną, którego właśnie zobaczyła, a surowym drwalem, którego poznała rano, nie było wielkiej różnicy. Ani ubrania, ani brzytwa nie były w stanie przyćmić jego męskości.

– Mężczyzna, który ma dwie wyjątkowe kobiety tylko dla siebie, to prawdziwy szczęściarz.

– Luke. – Rozpogodzona Anabelle uniosła głowę. – Komplementy są takie cudowne, prawda, Gwen?

– Faktycznie – zgodziła się werbalnie, posyłając Luke'owi lodowate spojrzenie.

Wszedł do pokoju, udając się po kryształową karafkę babci.

– Sherry?

– Dziękuję, kochanie. – Anabelle z uśmiechem spojrzała na córkę. – Luke kupił znakomitą sherry. Strasznie mnie rozpieszcza.

Założę się, że tak jest, pomyślała ze złością Gwen. Gdyby matka patrzyła teraz na nią, bezbłędnie rozpoznałaby ten wyraz twarzy. Tymczasem Luke wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie traćmy już czasu – rzekła Anabelle, nieświadoma walki, która rozgrywa się za jej plecami. – Tillie przygotowała dla Gwen specjalną kolację. Uwielbia moją córeczkę, choć się do tego nie przyznaje. Pewnie tak samo jak ja tęskniła za nią przez te dwa lata.

– Tęskniła za kimś, na kogo mogłaby utyskiwać.

Odkąd skończyłam dziesięć lat, Tillie uważa, że jestem za chuda i mało dziewczęca.

– Dla niej zawsze będziesz miała dziesięć lat – z westchnieniem oznajmiła Anabelle. – Sama zapominam, że masz już dwa razy tyle, i to z okładem.

Gwen zwróciła się do Luke'a.

– Ano mam – mruknęła, po czym spojrzała na Luke'a, który zaoferował jej sherry. – Dziękuję – odparła tym specyficznym tonem, pozornie uprzejmym, a tak naprawdę aroganckim i odpychającym. Niestety, ku jej rozczarowaniu, drink okazał się doskonały. – Pan też zamierza mnie rozpieszczać, panie Powers? – spytała tak bardzo słodko, że miało to wymiar wężowego syku.

– Szczerze w to wątpię, Gwenivere. – Gdy ujął jej dłoń, aż się szarpnęła, by ją wyrwać z uścisku. – Naprawdę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Podczas kolacji Gwen poznała pozostałą dwójkę gości. Choć oboje byli malarzami, różnili się od siebie jak dzień od nocy. Monica Wilkins była małą, bladą kobietką o byle jakich, brązowych włosach. Mówiła cicho, panicznie bała się kontaktu wzrokowego. Cała jej działalność artystyczna praktycznie ograniczała się do ilustrowania książek o roślinach. Gwen ze współczuciem zauważyła, że maleńkie, ptasie oczy pani Wilkins często kierowały się na Luke'a, by szybko skupić się na czymś innym.

Bradley Stapleton był wysokim i tyczkowatym mężczyzną. Miał na sobie luźny sweter, workowate spodnie i podniszczone trampki. Jego pogodna twarz nie zapadała w pamięci, posiadał jednak zaskakująco piękny głos. Przyglądał się ludziom z niezaspokojoną ciekawością, z jego dzieł emanowała miłość do bliźnich. Marzył o sławie, lecz w końcu wygrała potrzeba godnego życia.

Kolacja przypadła Gwen do gustu nie tylko z powodu kulinarnych rozkoszy, ale i ze względu na nadzwyczaj interesujące artystyczne towarzystwo. Wprawdzie zarówno panna Wilkins, jak i pan Stapleton naznaczeni byli przykrą cechą nudziarstwa, lecz występując wspólnie, wzajemnie uwydatniali swoje wady i zalety. Pod tym względem stanowili niezapomniany duet.

– A więc pracujesz dla magazynu „Styl” – zagaił Bradley, sięgając po dokładkę jambalai. – Dlaczego nie zostałam modelką?

Gwen pomyślała o szalonych, znerwicowanych, wychudzonych pięknościach.

– To nie moja bajka. Znacznie lepiej idzie mi głaskanie ich po głowie.

– Głaskanie? Nie rozumiem...

– Właśnie tym mniej więcej się zajmuję – odparła z uśmiechem. Dobrze, że matka usadziła ją obok Luke'a, a nie naprzeciwko, bo ciężko byłoby patrzeć na niego przez całą kolację. – Pocieszaniem, głaskaniem, potrząśaniem. Ktoś musi pilnować, by modelki nie używały wypielegnowanych paznokci do wydrapywania rywalkom oczu, ktoś musi przypominać im o praktycznej stronie życia.

– Gwen jest bardzo praktyczna – wtrąciła Anabelle.

– To dziwne, swoją drogą, bo od urodzenia taka nie byłam. – Posłała córce uśmiech. – Dojrzała o wiele wcześniej niż ja.

– Praktyczność do ciebie nie pasuje, Anabelle – stwierdził Luke z serdecznym uśmiechem.

– Mówiłam, że mnie rozpieszcza. – Cała się rozpromieniła.

– Faktycznie – odparła Gwen, unosząc szklanekę. – Musisz dla mnie pozować – stwierdził Bradley.

– Mówisz poważnie? – Gwen skupiła się na nim, ignorując Luke'a, był to bowiem jedyny sposób, by przetrwać kolację.

– Zdecydowanie. – Bradley zastygł z herbatnikiem i nożem w ręku, przyglądając się Gwen. – Rewelacja, prawda, Monico? Cudowna modelka. Zależnie od światła, jej włosy będą albo tycjanowskie, albo staną się subtelniejsze, spokojniejsze. Ale największym skarbem dla malarza są jej oczy. Ogromne, brązowe lustro nastrojów, emocji, myśli... – Zadumał się na moment. – Tak, oczy... Oczy to klucz do Gwen, prawda, Monico? Och, w ogóle jest niezwykła. Idealny układ kości, przez co owal twarzy jest malarskim marzeniem, no i ta cudowna cera. Ale oczy, te oczy... Tylko mi nie mów, że Gwen ma prawdziwe rzęsy. Matka natura nie ma takich na składzie, są zbyt długie i gęste.

– Ależ jak najbardziej prawdziwe – odparła Monica, zerknąwszy na Gwen. – Całkiem prawdziwe.

– To po ojcu – wyjaśniła Anabelle. – Był szaleńczo przystojny, a Gwen wzięła z niego to wszystko, co najlepsze. Bardzo go przypomina, a już oczy ma identyczne. Właśnie w tych niezwykłych oczach męża się zakochałam.

– Są urzekające – dodał Bradley. – Kolor, kształt, wyraz. No i są ogromne. Po prostu urzekające. – Znów spojrział na Gwen. – Pozuj dla mnie, proszę.

– Zobaczysz się – skwitowała Gwen z miłym uśmiechem.

Kolacja dobiegała końca. Monica, Bradley i Luke udali się do swoich pokoi. Gdy zostały same, Anabelle wyjaśniła córce, że Luke bez przerwy pracuje. To dziwne, pomyślała Gwen. Jej romantyczna matka nie ma nic przeciwko temu, że jej ukochany mężczyzna nie spędza z nią wieczorów, tylko zajmuje się robótkami...

Siedziały jakiś czas w milczeniu. Gwen spostrzegła, że Anabelle szepce coś do siebie, dziergając ozdobną powłoczkę. Czy naprawdę jest szczęśliwa? – zastanawiała się córka. Czy naprawdę jest pełna energii? Jeśli to zasługa Luke'a Powersa, to powinnam go przekląć, czy też podziękować? Przypatrując się matce, Gwen poczuła nagły przyływ opiekuńczych uczuć. Musi się o nią zatroszczyć.

Gwen położyła się do łóżka, lecz nie mogła zasnąć. Nie potrafiła też skupić się na książce. Ani spać, ani poczytać...

Delikatna bryza uniosła zasłonki. Gwen wstała z łóżka, narzuciła cienki szlafrok i wyszła na balkon.

Noc była ciepła, oświetlona przez ogromny księżyc. Powietrze wypełniał zapach glicynii i róż. Słychać było cykanie świerszczy, rozlegało się też



samotne, niesamowite pohukiwanie sowy. Liście szeleściły poruszane przez ptaki i nocne zwierzęta. Migwały świetliki.

Wilgotne, pachnące powietrze uspokoiło Gwen. Niezmacony spokój był jak przyjaciel z dzieciństwa, lecz uległa mu z pewnym wahaniem. Przez ostatnie dwa lata najważniejsza była dla niej kariera. Zależało jej na niezależności i sukcesie. Ciężko na to pracowała i osiągnęła zamierzony cel...

W zadumie zerwała koralową różę.

Dlaczego więc nie jestem szczęśliwa? – pomyślała Gwen

– Ależ jestem! – zaprzeczyła sobie gwałtownie, wdychając delikatny zapach róży.

Ale nie tak, jak powinnam, dodała w duchu. Nie jestem...

Kompletna.

Tak, nie czuła się kompletna. Był w niej jakiś... brak.

Z westchnieniem spojrzała na rozgwieżdżone niebo... i aż ją olśniło. Jej problemy zmalowały, stały się nieważne wobec tego cudu natury, kosmicznej natury, boskiego dzieła. Wolna i swobodna, roześmiała się w nocną ciszę.

– Łap! – zawołała, rzucając kwiat w powietrze. Ku jej zaskoczeniu, jakaś ręka złapała różę.

Luke pojawił się znikąd. Stał kilka metrów dalej, rozkoszując się zapachem kwiatu.

– Dzięki – rzekł cicho. – Nikt nigdy nie rzucił mi róży.

– Nie była dla ciebie. – Odruchowo ścisnęła szlafrok na wysokości piersi.

– Nie? – Luke'a wyraźnie rozbawiła jej reakcja. – A dla kogo?

Zakłopotana Gwen wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że jesteś zajęty.

– Byłem, lecz moja muza już poszła, więc na dziś skończyłem. Ogrody wyglądają najpiękniej w świetle księżyca. – Przysunął się do Gwen. – To samo dotyczy kobiet...

Gwen zrobiło się gorąco, lecz starała zachowywać się swobodnie.

Luke wetknął jej kwiatek we włosy i delikatnie uniósł podbródek.

– Masz piękne oczy. Bradley wie, co mówi. Poczula dreszcz... i cofnęła się gwałtownie.

– Nie rób tego więcej. – Była zła na siebie za te słowa.

– Osobliwa z ciebie kobieta, Gwen. – Niby wciąż był rozbawiony, bardziej jednak zadumany. – Jeszcze nie udało mi się ciebie rozpracować. Intryguje mnie twoja niewinność.

Odrzuciła do tyłu włosy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Och, nawet twój nowojorski styl tego nie ukryje – oznajmił z uśmiechem. – Oczy cię zdradzają. Bradley nie wie, dlaczego są takie interesujące. Ja wiem. Chodzi o ich niewinność... i o obietnicę. – Gwen zmarszczyła czoło, lecz zachowała spokój, on zaś mówił dalej: – Ta piękna twarz zdradza niezmaconą niewinność i ciepło obiecujące namiętność, zachowując przy tym subtelną równowagę.

Gwen poczuła się niepewnie. Nie potrafiła opanować zalewającej ją fali ciepła. Spokój rozplynął się w powietrzu. Zastąpiło go podniecenie. Nieprzewidywalne i gorące. Poczula nagły strach.

– Nie chcę, byś tak do mnie mówił – wyszeptała, znów się cofając.

– Nie? – Rozbawienie w jego głosie mówiło, że odwrót nie jest już możliwy. – Czy Michael nigdy nie kusił cię słowami? Może dlatego wam się nie udało.

– Michael? A co ty możesz wiedzieć o... ? – Nagle przypomniała jej się rozmowa z matką przed obiadem.

– Podśłuchiwałeś! – Była wściekła. – Nie masz prawa przysłuchiwać się prywatnym rozmowom! Dżentelmeni tego nie robią!

– Bzdura. Każdy tak robi, jeśli ma okazję.

– Lubisz wtykać nos w nie swoje sprawy, co?

– Interesują mnie ludzie, emocje. Nie mam w zwyczaju przeproszać za to, co mnie ciekawi.

Była wściekła na Luke'a, a zarazem podziwiała jego pewność siebie.

– A za co masz zwyczaj przeproszać?

– Niewiele jest takich rzeczy.

– To oburzające. – Nie zdołała jednak powstrzymać uśmiechu.

– Na to warto było czekać – stwierdził ściszym głosem. – Ciekawe, czy Bradleyowi uda się to oddać. Uważaj, gotów się w tobie zakochać.

– To tak udało ci się zdobyć Monicę?

– Ona się mnie panicznie boi. – Poprawił jej kwiat we włosach.

– Jakiż z ciebie doskonały obserwator ludzkich zachowań! – Prychnęła, bawiąc się różą i upuszczając ją na ziemię.

Oboje rzucili się, by ją podnieść.

Dotknęła Luke'a włosami. Ich oczy się spotkały. Cofnęła się jak oparzona, lecz Luke zdążył złapać jej rękę. Podniósł się z kolan, unosząc Gwen za ramię. Mimowolnie zadrżała, gdy przyciągnął ją do siebie, a ich ciała się z sobą zetknęły. Wystarczyło spojrzenie, dotyk, by poczuła namiętność, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyła. Powiódł dłońmi w górę jej ramion. Zupełnie straciwszy kontrolę, pocałowała go.

Namiętny pocałunek sprawił, że zabrakło jej tchu. Zalała ją fala rozkoszy. Spod przymkniętych powiek widziała eksplodujące światła, szukając ustami

jego ust według nakazu odwiecznych instynktów. Pod palcami czuła jego twarde mięśnie. Zadrżała na myśl o jego sile i swojej kruchości. Lecz nawet jej słabość posiadała moc, której nigdy dotąd nie doświadczyła.

Jego dłonie badały jej ciało, wzniecając ogień, odkrywając sekrety, dając i biorąc. Gwen była uległa i otwarta. Luke stał się dla niej narkotykiem biorącym we władanie jej ciało, mącącym w głowie. Małe ziarenko sprzeciwu próbowało się bronić przed wzbierającym pragnieniem poddania.

Powoli, niechętnie zaczął powracać zdrowy rozsądek. Przerażona swoim zachowaniem, Gwen wyrwała się z uścisku Luke'a... i poczuła się dogłębnie samotna.

– Nie. – Dotknęła swych rozpalonych policzków. – Nie – rzekła łamiącym się głosem, odwróciła się i zniknęła w pokoju.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Był mglisty, ciężki poranek. Podobne były myśli Gwen. Gdy szary świt rozświetlił niebo, stanęła w oknie.

– Jak mogłam? Jak mogłam go pocałować? – szepnęła.

Wrodzona uczciwość wywołała w niej poczucie winy. Tym razem nie mogła powiedzieć, że straciła panowanie nad sobą. Wiedziała, do czego to doprowadzi, a co gorsza – podobało jej się to.

Usiadła, przyciągnęła kolana do siebie.

Za pierwszym razem też jej się podobało. Jak mogła?

Wstała, zaczęła przechadzać się nerwowo po pokoju.

Przejechała tysiące kilometrów, by usunąć Luke'a Powersa z pola widzenia, lecz oto całowała się z nim w środku nocy w ogrodzie. Co z niej za człowiek? Co z niej za córka? Wczoraj w ogrodzie w ogóle nie myślała o matce.

Za to dziś o niej pomyśle, postanowiła w duchu, wyciągając z szuflady oliwkowe spodenki. W ciągu miesiąca Luke Powers ma się stąd wynieść. Już ona o to zadba.

Zapinając guziki zielonej bluzeczki, Gwen pokiwała głową do własnego odbicia w lustrze. Koniec z ogrodami skąpanymi w blasku księżyca. Nie pozwoli, by znów otumaniło ją letnie przesilenie. Bo to przecież wina przesilenia, prawda?

Nerwowo przeczesła dłonią włosy, ubrała się i opuściła pokój.

Nawet Tillie nie było w kuchni o tak wczesnej porze. Podobała jej się samotność w łagodnie oświetlonym pomieszczeniu. Przygotowała sobie kawę. Popijając z filiżanki, przyglądała się napływającym chmurom. Nadchodzący deszcz zupełnie jej nie zasmucił. Niebo ostrzegało. Nawet powietrze pachniało

deszczem. Cichy, nudny poranek nabrał trochę kolorów. Zapowiadało się na burzę z piorunami i cudownie chłodny wiatr. Taka perspektywa podniosła Gwen na duchu. Podśpiewując wesoło, zaczęła przeszukiwać szafki. Zapomniała o niespokojnej nocy.

– Czego ty tu szukasz? – spytała Tillie, wpadając do kuchni.

– Dzień dobry, Tillie – odparła pogodnie Gwen, przyzwyczajona do szorstkich manier kucharki.

– Czego szukasz w mojej kuchni? – Tillie spojrzała na nią podejrzliwie. – Aha, zrobiłaś kawę.

– Wyszła całkiem niezła – odparła skruszonym tonem, choć w jej oczach błyskały figlarne ogniki.

– Ja tutaj robię kawę – gromko oznajmiła Tillie.

– Tęskniłam za twoją kawą. Jest najlepsza na świecie.

– Napełniła kucharce filiżankę. – Spróbuj. Może mi powiesz, co robię nie tak? – podlizywała się bezwstydnie.

Tillie spróbowała, marszcząc przy tym czoło.

– Za długo parzysz. – Odgarnęła loki z czoła Gwen.

– Włosy wpadają ci do oczu. Chcesz nosić okulary?

– Nie – pokornie odparła Gwen. Tak po prostu należało, pokora i podlizywanie się w odpowiedzi na szorstkie słowa i niecierpliwe gesty, w przypadku Tillie oznaczające czułość i bezgraniczne oddanie. – Zrobiłam śniadanie dla mamy. – Wskazała pełną tacę. – Zaniosę jej. Uwielbia takie niespodzianki.

– Nie powinnaś jej tak wcześniej przeszkadzać.

– Wcale nie jest tak wcześniej – rzuciła beztrosko, unosząc tacę. – Mam nadzieję, że za bardzo nie nabałaganiałam – dodała z młodzieńczą nonszalancją.

– Posprzątam, jak wrócę. – Czmychnęła, zanim Tillie zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Szybko ruszyła schodami. Trzymając tacę w jednej ręce, drugą otworzyła drzwi do pokoju matki. Odkryła z zaskoczeniem, że są zamknięte. Odkąd sięgała pamięcią, matka nigdy tak nie robiła. Z niedowierzaniem pokręciła klamką, na koniec zapukała.

– Mamo? Mamo, nie śpisz?

– Co takiego? – odparła niezbyt przytomnym głosem Anabelle. – Chwileczkę.

Gwen stała pod drzwiami, przysłuchując się dziwnej krzątaninie.

– Mamo, wszystko w porządku?

– Tak, tak, momencik. – Wreszcie drzwi się otworzyły. – Dzień dobry, Gwen – powitała ją z uśmiechem Anabelle. Choć ubrana była w szlafrok, a włosy miała w nieładzie jak po długim śnie, patrzyła całkiem bystro. – Co takiego przyniosłaś?

– Czekoladę i naleśniki. Wiem, że je lubisz. Mamo, co ty... ?

– Kochanie, jakie to słodkie! – Zaprosiła córkę do środka. – Sama je zrobiłaś? Przepyszne! Usiądźmy na balkonie. Mam nadzieję, że się wyspałaś.

Gwen nie zamierzała wspominać o niespokojnej nocy.

– Wstałam wcześniej i postanowiłam sobie przypomnieć, jak się robi naleśniki. Nie przypominam sobie, żebyś miała zwyczaj zamykać drzwi.

Anabelle uśmiechnęła się, siadając na białym krześle.

– Zatem to mój nowy nawyk. Ojej, zanosi się na deszcz. Cóż, przynajmniej róże się cieszą.

Zamknięte drzwi nie dawały Gwen spokoju. To prawda, Anabelle była kobietą, i to całkiem dorosłą, ale i jej matką. Lepiej, żeby o tym drugim nigdy nie zapomniała... Nigdy.

Postawiła tacę na okrągłym stoliku ze szklanym blatem i ucałowała matkę w policzek.

– Bardzo się za tobą stęskniłam.

– Gwenivere... – Anabelle z uśmiechem poklepała córkę po rękę. – Tak się cieszę, że przyjechałaś. Tak dobrze mi z tobą, od kiedy się tylko urodziłaś.

– Nawet gdy roznosiłam błoto po dywanie i wrzucałam żaby do salonu? – Gwen uśmiechnęła się łobuzersko, nalewając gorącej czekolady.

– Kochanie, o niektórych sprawach najlepiej zapomnieć. – Anabelle westchnęła z tragiczną emfazą. – To prawdziwy cud, że udało mi się wyprowadzić na ludzi taką łobuzicę. To prawda, pragnęłam, byś zachowywała się jak młoda dama, lecz musisz wiedzieć, że szczerze podziwiałam twoją potrzebę wolności. Owszem, niezłe było z ciebie ziółko, miałas w sobie coś z łotrzyka, który gna tam, gdzie wiatr go poniesie, owszem, byłaś w gorącej wodzie kąpana, ale nigdy nie postępowałaś złośliwie czy nieszczerze. Okropnie rozrabiałaś z tej potrzeby wolności i niechęci do konwenansów, lecz nie było to skierowane przeciwko komukolwiek, no i zawsze szczerze się przyznawałaś, nie kłamałaś, nie kręciłaś.

Gwen się roześmiała.

– Musiałam być dla ciebie nie lada utrapieniem.

– Cóż, nie przeczę. – Anabelle też się uśmiechnęła.

– A teraz jesteś dorosła. Ciężko mi się z tym pogodzić. Podoba ci się w pracy?

– To dziwne, mamó... – Gwen zadumała się na moment. – Po prostu nie wiem. Na pewno są dwa plusy. Dzięki tej pracy jestem niezależna finansowo, a także zaangażowałam się w coś fajnego. Spalam energię, a tego potrzebuję jak powietrza.

– Zawsze taka byłaś... Rany, naleśniki wyglądają fantastycznie!



– Bo takie są, uwierz. Próbowałam, zanim je tu przyniosłam, i test wypadł pozytywnie.

– Rozsądna decyzja – skwitowała z uśmiechem Anabelle. – Cała ty, w gorącej wodzie kąpany rozsądek.

– Uniosła do ust naleśnik. – Naprawdę wyśmienity! Nawet Tillie nie robi lepszych, ale niech to zostanie między nami.

Gawędziły jakiś czas o tym i owym, wreszcie Gwen spytała ostrożnie:

– Mamo... jak długo Luke zamierza tu zostać?

– Zostać? – Zaskoczona Anabelle uniosła brwi.

– O ile mogę się domyślać, zależy to od postępów w pracy. Mam nadzieję, że uda mu się skończyć pierwszą wersję powieści, nim wyjedzie do Kalifornii.

– Pewnie nie ma żadnych powodów, by tu wrócić?

– A ja sądzę, że wróci – odparła z uśmiechem Anabelle. – Luke'owi bardzo się tu podoba. A to, że przebywa w tym domu, wiele dla mnie znaczy. – Z rozmarzeniem wpatrywała się w zamglone niebo.

– Aha... – W głowie Gwen zapaliło się czerwone światło.

– Tak wiele mi dał! Mogłabyś spędzić z nim więcej czasu, lepiej go poznać.

Gwen ugryzła się w policzek. Poczowała się bezsilna. Gotowała się z wściekłości, gdy Anabelle uśmiechała się ukradkiem w stronę deszczowych chmur. Niegodziwiec! Jak mógł jej to zrobić? Gwen poczuła ogromny ciężar na duszy. I co robi ze mną? Nieważne, jak bardzo starała się o tym nie myśleć, nadal czuła smak jego ust. Kuszące uczucie nie chciało odejść. Nigdy wcześniej się tak nie czuła. Nie potrafiła tego określić ani zrozumieć.

Potrząsnęła głową, zebrała się w sobie. To wojna, a ona nie jest słabą, naiwną kobietką! Luke Powers musi zniknąć nie tylko z tego domu, ale w

ogóle z Luizjany. Trzeba zatoczyć wokół Anabelle sanitarny krąg nieprzekraczalny dla tego drania! Musiała sprawić, by wrócił na Zachodnie Wybrzeże i nie ważył się tu już nigdy pojawić.

– Gwen?

– Tak? – Wracając do tu i teraz, wychwyciła uważne spojrzenie matki.

– Powiedziałam, że do kolacji pasowałoby ciasto z jagodami. Luke bardzo je lubi. Pomyślałam, że może byś nazbierała trochę jagód.

– Bardzo chętnie – rzekła cicho, marząc o tym, by dodać arszeniku do porcji Luke'a.

Na niebie gromadziły się groźne chmury, gdy Gwen udała się na poszukiwanie jagód. Co tam deszcz, zyskała wolną chwilę, by ułożyć strategiczny plan wojny z Lukiem. Zmusi tego drania, by zrejterował jak niepyszny na Zachód!

Machając wiaderkiem, ruszyła w kierunku ciemnych drzew stanowiących granicę między posiadłością a bagnami. Wkraczała w świat zupełnie inny niż łagodny, czysty, dobrze utrzymany dom matki. Świat dziki, pełen wiekowych tajemnic i nieskończonych wyzwań. W dzieciństwie była to jej bezpieczna przystań. Choć pamiętała każdy szczegół, na nowo podziwiała piękno lasu.

Nad szemrzącym strumykiem unosiła się mgła. Brązowe pałki wodne poszukiwały ostatnich promieni słońca. Gdzieś nad powierzchnią pięły się cyprysy. Wąski strumyk zakręcał i niknął w leśnej gęstwinie. Gwen pamiętała, jak się wiję, wykręca i rozszerza. Porośnięte mchem drzewa tworzyły wokół wąskiej ścieżki tunel. Słyszała śpiew ptaków i plusk spłoszonych, wskakujących do wody żab. Wiedziała jednak doskonale, że ten czarowny spokój był tylko pozorny. Pod fasadą błogiej ciszy kryła się potężna siła witalna natury, bujne, pełne niepokromionej energii życie, dzikie, szalone, nieokiełznane.

Przyroda ją wzywała.

Wyzwolona i zafascynowana, ruszyła w górę rzeki, poszukując krzaków dzikich jagód. Czas się cofnął, Gwen znów była nastolatką, której największym marzeniem było życie w wielkim mieście. Spędzając godziny nad bagnami, marzyła o emocjach, tajemnicach miejskiego życia i czekających ją wyzwaniach. Ciężka praca, determinacja i szybkie podejmowanie decyzji umożliwiły jej szybką realizację celów. Dostała odpowiedzialną pracę, zdobyła grono ciekawych znajomych... a także męczące poczucie niezadowolenia.

To wina przepracowania, pomyślała Gwen, wrzucając soczystą jagodę do ust. I oczywiście sprawa Michaela, dodała w duchu. Marszcząc czoło, wrzuciła do wiaderka garść jagód. Owszem, sama podjęła decyzję o rozstaniu, i teraz cierpi w samotności. Jego słowa... Jeszcze bardziej zmarszczyła czoło, nieświadomie skubiąc jagody. Że jest zimna, obojętna, niedojrzała... że go nie kocha. Westchnąwszy, zebrała więcej jagód, które zamiast w wiaderku, wylądowały w jej ustach. Gdyby go kochała, chciałaby uprawiać z nim miłość.

– Wcale nie jestem zimna! – szepnęła. – Gdy byłam z Lukiem...

Zastygła w bezruchu, zaczerwieniła się. Z Lukiem to zupełnie inna sprawa, czysto fizyczna. Nie było w tym żadnych emocji. Sama chemia. To udowodnione naukowo.

Zastanawiała się nad możliwością uwiedzenia Luke<sup>^</sup>. Mogłaby z nim flirtować, kusić go, doprowadzić do tego, że się w niej zakocha. Wtedy Anabelle będzie bezpieczna, a ona pozbędzie się tego drania. To nic trudnego. Gwen wiele razy widziała, jak modelki okręcają sobie facetów wokół palca. Spojrzała na własne palce. Były brudne od jagód.

– Wyglądasz, jakbyś wykonywała zlecenie dla FBI.

Obróciła się gwałtownie, by ujrzeć opartego o drzewo Luke'a. Znów miał na sobie wytarte džinsy i podkoszulek. Jego oczy były jak niebo, teraz bardziej szare niż niebieskie. Serce Gwen zaczęło bić jak oszalałe.

– Zawsze musisz się do mnie skradać? – fuknęła, wściekła na siebie, że tak na niego zareagowała. – Masz irytujący zwyczaj pojawiania się tam, gdzie cię nie chcą.

– Wiesz, że gdy się złościysz, zaczynasz przypominać damę z Południa? – Luke uśmiechnął się przyjaźnie. – Pięknie wymawiasz samogłoski.

– Czego chcesz? – spytała agresywnie, zupełnie nie jak dama z Południa.

– Pomóc ci z jagodami, choć wygląda na to, że więcej ich zjadasz, niż zbierasz.

Już chciała wręczyć mu bilet powrotny, lecz przypomniała sobie swój genialny plan. Przecież ma owinąć Luke'a wokół swego ubrudzonego jagodami paluszka.

– Jak miło z twojej strony. – Uśmiechnęła się promiennie.

Zdumiony Luke uniósł brwi. Szykował się na kolejny sparring, a tu proszę...

– Jestem z tego znany – odparł po chwili. – Nie wiedziałaś?

– Nie znamy się zbyt dobrze. – Wręczyła mu wiaderko. – Nie było jeszcze okazji.

Wziął wiaderko, poddając Gwen bacznej obserwacji. Wyglądała naturalnie, wyluzowana, życzliwa...

Wiele ją kosztowała ta maska włożona na użytek wroga, którego zamierzała uwieść, a potem przegnać na cztery wiatry. I który tak dziwnie na nią działał.

– Jak ci idzie książka? – zapytała, z wielkim nakładem sił wyrównując oddech.

– Całkiem nieźle.

– Pewnie jest pasjonująca. – Gwen spojrzała na niego z nadzieją, że wygląda prowokująco i podniecająco. – Nie chcę ci się naprzykrzać, ale muszę powiedzieć, że jestem twoją fanką. Przeczytałam wszystkie twoje książki. – Tu akurat nie kłamała.

– Nie naprzykrzasz się. To miłe, że doceniasz moją pracę.

Nabrawszy śmiałości, Gwen złapała dłoń, w której Luke trzymał wiaderko. Jej odwaga prysła, gdy zauważyła błysk w jego oku. Chwyciwszy wiaderko, zaczęła zbierać jagody, przeklinając się za taką lękliwość.

– Jak ci się podoba życie w Nowym Jorku?

– W Nowym Jorku? – Mam być kusicielką, nakazała sobie. – To bardzo ekscytujące miasto. Takie zmysłowe...

– Zbliżyła jagodę do jego ust, żałując przy tym, że nie ćwiczyła wcześniej przed lustrem uwodzicielskiego uśmiechu. Gdy dotknął językiem jej palców, Gwen zadrżała, powstrzymując się, by nie zabrać dłoni. – Lubisz Nowy Jork? – spytała swobodnym tonem, uznając go za najbardziej kuszący.

– Czasami – odrzekł Luke, zgarniając jej włosy z karku.

Zwilżywszy usta, Gwen się odsunęła.

– Na stałe mieszkasz w Luizjanie?

– Nie, mam domek na plaży niedaleko Carmelu. Masz niesamowicie miękkie włosy – wyszeptał, bawiąc się nimi.

– Na plaży... Musi być tam pięknie. Nigdy nie widziałam Pacyfiku.

– Bywa dziki, niebezpieczny. – Muskał ustami jej szyję.

Gwen krzyknęła coś gardłowo i jeszcze bardziej się odsunęła.

– Oczywiście widziałam zdjęcia i filmy – powiedziała w miarę normalnym tonem – ale to nie to samo co na żywo. Masz tam pewnie wspaniałe azyl do pisania.

– Owszem... – Luke złapał ją z tyłu za biodra i lekko przygryzł płatek jej ucha.

Przez chwilę nie była się w stanie ruszyć, po czym znów się odsunęła.

– Cóż – zagaiła, zarzucając kompletnie plan uwiedzenia Luke'a – chyba już wystarczy. – Odwracając się, dotknęła piersiami jego torsu. Zaczęła się niezgrabnie wycofywać. – Dla Tillie jagód wystarczy, nawet na dwa ciasta. – W jej oczach pojawił się lęk.

– Zatem nie musimy już tracić czasu na zbieranie.

– Zabrzmiało to w jego ustach zupełnie jednoznacznie.

– Nie... – Przyglądała mu się bezradnie. – Muszę zanieść Tillie jagody. Nie może się pewnie doczekać.

Luke zbliżał się do niej powolnym krokiem. Już miała porzucić resztki godności i uciec, gdy natrafiła z tyłu na pustkę. Z krzykiem złapała Luke'a za rękę, nie uratowało jej to jednak przed wylądowaniem w rzece.

– Uff, a już się bałem, że stracimy jagody! – Pomachał triumfalnie wiaderkiem, które zdążył przechwycić, i spytał uprzejmie: – Jak woda?

– Ty draniu! – Kichając i prychnając, z furją waliła rękami w wodę. – Zrobiłeś to celowo! – Gniewnie zmiotła mokre włosy z twarzy, gramoląc się na nogi.

– Co? – Luke bawił się na całego. Uroczą zmokła kura miotająca gromy...

– Wepchnąłeś mnie! – Zmokła kura ruszyła do brzegu.

– Rany, przecież nawet cię nie tknąłem! – oburzył się jak na skrzywdzoną niewinność przystało.

– Właśnie! – Kopnęła z wściekłości wodę. – Właśnie o to chodzi!

– Z twojej perspektywy pewnie tak to wygląda, jednak wybrałem mniejsze zło. Jagody na wspaniałe ciasto Tillie albo kąpiel panny Gwenivere.

Decyzja była oczywista. – Uśmiechnął się promiennie. – Aha, płatek lilii przykleił ci się do... hm... – Oczy błysnęły mu podejrzanie.

Czerwona ze wstydu i wściekłości, Gwen zdarła lilie z pupy.

– Cholerny dżentelmen z walniętego Zachodu – syknęła.

– Panno Gwenivere, czyżbym słyszał przyganę w pani głosie? Och, jak zabolalo! A przecież postępuję zgodnie z najlepszymi standardami przynależnymi dżentelmenowi z Zachodu – drwił sobie w najlepsze.

– Oto proszę, śpieszę z pomocą. – Odstawił wiaderko i wyciągnął do niej rękę, gdyż wdrapywanie się po śliskim brzegu szło jej raczej opornie.

– Dzięki – oznajmiła słodko.

Włożyła w to całą moc swych mięśni, urażonej dumy, walecznego serca i rozwścieczonej duszy. I udało się! Jak wyrzucony z katapulty Luke pofrunął do wody, skrył się w niej cały na moment.

Gdy wynurzył się, kichając i prychając, Gwen z niezmienną słodyczą spytała:

– Jak woda? – Zachichotała, niweczając efekt słodczy. Roześmiała się jeszcze głośniejsze, gdy Luke zwięził oczy.

Uczynił krok w jej stronę, więc Gwen dała nogę. Zawisła na brzegu, nie zdołała jednak wspiąć się cała i Luke złapał ją za kostkę. Wydostawszy się na brzeg, rzucił się na Gwen, która nadal nie mogła opanować śmiechu.

Na twarz kapala jej woda z włosów Luke'a.

– Powinienem był się domyślić – stwierdził z rozbawieniem. – Ale masz taką anielską twarz.

– A ty całkiem przeciwnie. Diabeł dałby worek złota za twoją gębę. – Znów zachichotała, uradowana swoim dowcipem.

– Dziękuję, pomyślę o tym biznesie, Nagle z nieba runęły strugi ciepłej wody.

– No nie! – Gwen próbowała go odepchnąć. – Deszcz!

– Owszem – zgodził się Luke, trzymając mocno.

– Mój Boże, przemokniemy!

Znów się roześmiała. Czuła się wolna i beztroska, gdy jednak spojrzała w oczy Luke'a, ujrzała czyste pożądanie. Zabrakło jej tchu w piersiach.

– Jesteś taka piękna – szepnął Luke i pocałował ją żarliwie.

Gwen poczuła dzikie pożądanie. Zachłannie przyjmowała pieszczoty i szczerze odpowiadała na nie. Zupełnie straciła rozum, tonąc w czystej rozkoszy. Nie czuła strachu, jedynie podniecenie. Tonęli w deszczu, a dłonie Luke'a badały każdy zakamarek jej ciała. Gwen drżała, szepcząc jego imię. Pragnęła go tak bardzo, jak nigdy wcześniej nie pragnęła żadnego mężczyzny.

– Luke? – Było to zarazem pytanie i zaproszenie. Niebo nad bagnami rozświetliła błyskawica, by zaraz przeminąć i pograżyć kochanków w mroku.

– Lepiej już wracajmy – stwierdził Luke. – Matka będzie się o ciebie martwić.

Przymknęła oczy. Podniosła się z ziemi, unikając wyciągniętej dłoni Luke'a. Chwiała się od tych oszałamiających emocji.

– Gwen – szepnął.

– Nie... – Jej pełen namiętności głos zarazem zdradzał napływające łzy. – Musiałam stracić rozum. Nie miałeś prawa!

– Nie rozumiem, Gwen. Nie miałem prawa się z tobą kochać, czy nie miałem prawa przestać?

– Żałuję, że cię w ogóle spotkałam! Żałuję, że mnie dotknąłeś! – krzyknęła z wściekłością.

– Ach tak... – Gwałtownie przyciągnął ją do siebie. – Też jestem wściekły, i to z tego samego powodu, lecz co się stało, to się nie odstanie. –



Jego oczy pałały gniewem. – Ani tobie, ani mnie nie podoba się to, co między nami zaszło, więc powinniśmy to skończyć.

– Tak... – Gwen struchlała z przerażenia. Nie dałaby rady odeprzeć jego ataku. Gorsze jednak było to, że wcale nie musiałby użyć siły.

Puścił ją, odsunął się.

– Pewnie też uważasz, że najlepiej będzie, jeśli stąd pójdziesz.

W milczeniu ruszyła w stronę pokrytych mchem drzew. Myślała jedynie o tym, by jak najszybciej dotrzeć do domu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ogród rozbudził się pod wpływem deszczu, wprost tętnił życiem. Płatki róż suszyły się leniwie w świetle słońca, rosa przylegała do liści. Gwen chodziła powoli między krzewami, wybierając mocne, młode kwiaty. Cały dzień unikała Luke'a Powersa. Kierowana desperacją, trzymała się matki, korzystając z niej jak z ochrony i narzędzia ofensywy. Jeśli wciąż będzie przy matce, nie dopuści do niej Luke'a. Druga korzyść była taka, że dzięki temu nie zyska on okazji, by ją speszyć lub upokorzyć.

Koszyk w połowie wypełniały kwiaty, lecz ani kolory, ani zapach nie cieszyły Gwen. Działo się z nią coś dziwnego. Wciąż zapadała w niekontrolowaną zadumę, odpływała w nieznane obszary, i nie miała nad tym żadnej władzy. Jakby jej świadomość była co chwila porywana przez mknące w dal strumienie, jakby przestała panować nad własnymi myślami, unoszonymi przez tajemną moc.

Nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła. Przyjechała, by ostrzec matkę przed Lukiem Powersem, a oto wpadła w jego ramiona. Zareagowała na Luke'a w taki sposób, w jaki nigdy nie reagowała na Michaela czy innego mężczyznę. Nigdy jednak nie miała do czynienia z takim człowiekiem. Pomimo zewnętrznego spokoju, otaczała go zmysłowa aura. Czuła, że Luke kryje w sobie wiele tajemnic. Kompletnie nie wiedziała, jak z nim postępować. Co gorsza, wydobył na światło dzienne jej dotąd skrywaną naturę.

Uznała, że musi okiełznać tętniący w niej wulkan, by nie gmatwać sobie niepotrzebnie życia. Starła się myśleć i postępować w sposób logiczny i prosty, unikała skomplikowanych kalkulacji, sprowadzając wszystko do jasnych, oczywistych równań. W życiu prywatnym też kontentowała się minimalistycznymi potrzebami, unikając nie tylko ekstrawagancji, ale i

wszystkiego, co wykraczało poza dające się objąć praktycznym rozumem sfery. Wiedziała, że zakładając sobie takie kajdany, zbanalizowała swoje życie, lecz ten banał, jak do tej pory, znakomicie jej służył, owocując szybką karierą i akceptacją środowiska. Ludzie dynamiczni w działaniu, lecz przy tym opanowani, solidni i przewidywalni, z reguły cieszą się powszechną sympatią i zaufaniem zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym. Są tacy normalni...

Lecz oto nagle ujawniły się jej ukryte marzenia, które wniwecz obróciły z takim trudem wypracowany banał. Nie była już tą zwyczajną, opanowaną kobietą. Do tej pory udawało jej się utrzymywać w ryzach swój wybuchowy charakter, lecz w ciągu zaledwie dwóch dni kajdany rozprysły się w drobny mak.

Wszystko to wina Luke'a. W ogóle nie powinno go tu być. Do diabła, dlaczego nie siedzi w swoim kalifornijskim domku? Gdyby przebywał teraz na Zachodnim Wybrzeżu, walcząc z jakimś trzęsieniem ziemi czy huraganem, Gwen po prostu przyjechałaby do mamy w odwiedziny. Byłoby miło, słodko i spokojnie. Lecz oto Luke brutalnie wkroczył z buciarami w jej życie i sprawił, że czuła...

Zagryzła wargi.

Co tak naprawdę czuła?

– Luke mnie przeraża... – szepnęła zdumiona.

Tak, przerażał ją, choć sama nie wiedziała dlaczego. Oczywiście nigdy by jej nie skrzywdził fizycznie, to nie taki facet, ale... No właśnie, zawsze ma bezwzględną kontrolę nad ludźmi i sytuacjami, lecz czyni to w taki sposób, że inni mogą nie zdawać sobie z tego sprawy.

Dotknęła ust. Wciąż pamiętała smak jego warg. Jego usta raz były delikatne i łagodne, a raz gwałtowne, lecz zawsze miały nad nią władzę. W walce z nim było coś ekscytującego, jakby stało się na burcie statku w czasie

sztormu. To prawda, marzyła o przygodach, nie zawsze jednak była w stanie wygrać. W jego ramionach nie czuła ukojenia czy naturalnego w takiej sytuacji podniecenia, lecz coś znacznie potężniejszego i groźniejszego, co można by nazwać dzikim pragnieniem nieskończonej żądz. To przerastało to wszystko, co potrafiłaby zrozumieć – i nadzwyczaj ją zaniepokoiło.

Uniosła podbródek i rozprostowała ramiona.

– Nie poddam się – szepnęła.

Nie pozwoli się zastraszyć Luke'owi ani kierować swoimi myślami. Jej oczy rozbłysły. Luke Powers nie ma nad nią kontroli. Zaraz się dowie, że Gwen Lacrosse potrafi doskonale zająć się sobą i swoją matką.

– Jeszcze chwileczkę. – Bradley Stapleton uniósł ołówek, lecz zaraz wrócił do szkicowania. Siedział po turecku pośrodku ścieżki. Miał na sobie sandały, umazane farbą spodnie, rozpiętą kraciastą koszulę i beżową czapkę.

– Och... – Gwen zatrzymała się.

– Wspaniale. – Bradley zerwał się z ziemi, z zadziwiającą zwinnością podszedł do Gwen. – Od razu, gdy tylko cię ujrzałem, zapragnąłem cię namalować, bo taka modelka to skarb. Ale nie doceniłem cię. Jesteś zjawiskowa. Ta ogromna paleta emocji! – Przerzucił kilka kartek szkicownika.

Gwen już nie była rozbawiona, tylko zaskoczona i zaintrygowana. Szkice były doskonałe, lecz tego się spodziewała, przedstawiały jednak nie zdystansowaną, opanowaną młodą kobietę. Bradley przedarł się przez jej maskę, ale nie tylko. Dotarł głębiej, gdzie Gwen, myśląc o sobie, nigdy nie dotarła. Zobaczyła szczupłą, swawolną kobietę w rozpuszczonych lokach, zarazem jednak dziwnie... bezbronną. Ta bezbronność ujawniała się w każdym szkicu, gdy była rozmarzona, gdy wydymała wargi, gdy dumiała głęboko lub

się złościła. Patrzenie na swoje emocje, których zaznała przez ostatnie pół godziny, okazało się nad wyraz niepokojące.

– Są fantastyczne. – Spojrzała na Bradleya, który wyraźnie ucieszył się z pochwały. – Posłuchaj... czy naprawdę jestem... taka... szczerą, jak na rysunkach? – Jeszcze raz przyjrzała się szkicom. – Czy moje myśli i uczucia są naprawdę aż tak widoczne i oczywiste? Jestem aż tak przejrzysta?

– Dlatego jesteś tak wspaniałą modelką. Masz niezwykle ekspresywną twarz.

– Ale... – Gwen nerwowo przeciągnęła dłonią po włosach. – Czy zawsze tak dobrze je widać? Czy każdy człowiek może się im przyjrzeć? Czuję się przez to bezbronna, wręcz naga.

Bradley z przyjaznym uśmiechem musnął palcami jej policzek.

– Nie przejmuj się tak bardzo. Owszem, twoja twarz to jakby otwarte wrota do myśli i uczuć, jednak ludzie zwykle są tak zajęci sobą, że u innych dostrzegają jedynie kształt nosa i kolor oczu, nie próbując nawet zobaczyć więcej.

– Ale ty dojrzałeś tak wiele – odrzekła Gwen, odprężywszy się nieco.

– Jestem malarzem. – Uśmiechnął się. – Poniekąd więc i psychologiem, bo bez tego byłbym marnym portrecistą.

– Oczywiście. – Znów zaczęła przerzucać kartki. – Dobry jesteś... – Zamilkła, ujrawszy szkic przedstawiający Luke'a.

Luke siedział na werandzie. Miał zwykłe ubranie i zmierzwił włosy, jak gdyby właśnie pracował. Bradley uchwycił siłę i inteligencję Luke'a, a także zmysłowość. Największe wrażenie zrobiły na niej oczy. Luke jakby patrzył na nią. Bradley uchwycił owo dziwne połączenie spokoju i siły...

– ... orzech do zgryzienia, ale nieźle mi wyszedł.

Gwen uświadomiła sobie, że dotarła do niej tylko ostatnia część wypowiedzi Bradleya.

– Tak, jest świetny – powiedziała szybko. – Rozumiesz go – dodała nieświadoma tęsknoty i zazdrości pobrzmiewającej w jej głosie.

Bradley spojrział na nią uważnie.

– Wiele by się dało poprawić, ale mówiłem już, to trudny orzech do zgryzienia dla malarza. Luke ma bardzo skomplikowaną naturę. W pewien sposób jest do ciebie podobny.

– Do mnie?!

– I w tobie, i w nim aż buzuja emocje, tak można by was opisać. Tyle że on, przynajmniej na zewnątrz, swoje emocje kontroluje, a twoje widać jak na dłoni. Zgodzisz się mi pozować?

– Co takiego? – Skupiła się na Bradleyu. W kontekście jego ostatniej wypowiedzi pytanie zabrzmiało dość dziwnie, jakby to było zaproszenie na niechcianą psychoterapię.

– Czy zgodzisz się dla mnie pozować? – powtórzył cierpliwie. – Chciałbym cię namalować w oleju.

– Tak, oczywiście. – Wzruszyła ramionami. Cóż, był natrętnym malarzem, a nie nachalnym psychoterapeutą. – Brzmi ciekawie.

– Zmienisz zdanie po kilku godzinach siedzenia w bezruchu – stwierdził dobrodusznie. – Możemy zacząć choćby teraz, zanim zdążysz się rozmyślić. – Ujął ją za rękę i poprowadził ścieżką.

Po kilku godzinach Gwen zrozumiała, że Bradley mówił prawdę. Pozowanie dla kapryśnego artysty okazało się wyczerpujące i wymagające. Naszkicował jej twarz pod kilkunastoma kątami, a ona albo stała, albo siedziała, albo wykręcała się według jego poleceń. Po raz pierwszy poczuła

szczerą sympatię dla modelek z magazynu „Styl”, choć dotąd uważała je po prostu za histeryczki i neurotyczki, jej wielkie zawodowe utrapienie.

Na początku bawiło ją, gdy Bradley przekopywał się przez jej ubrania, by znaleźć coś odpowiedniego do portretu. Kiedy wybrał białą, cienką sukienkę z jedwabiu, Gwen zdecydowanie przeciwko temu zaproponowała. Jednak Bradley zignorował jej protesty i koniec końców, ku własnemu zdumieniu, Gwen wystąpiła właśnie w tej sukience.

Zmęczona ponad wszelką miarę, wreszcie wyciągnęła się na łóżku. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, jak Bradley łagodnie przekonywał ją do swojego planu. Wszelkie skrepowanie związane z ubiorem czy ciągłym ustawianiem modelki szybko zniknęło. Równie dobrze mogła być drzewem lub paterą z owocami.

Wiedziała już, że fascynacja Bradleya jej osobą nie miała nic wspólnego z pożądaniem, tylko z czystą sztuką, nie groziły więc jej niechciane karesy. Westchnęła głęboko i przymknęła oczy. Po chwili nawiedził ją sen o spacerze nad bagnami w poszukiwaniu róż i jagód. Nie był jednak kojący, sielankowy. Urwane sceny następowały po sobie, zmienne w nastrojach, na pozór bezsensowne...

Przechodząc obok polany, zauważyła Luke'a, który rąbał grube, ciężkie drzewo. Dźwięk siekiery był głośny jak uderzenie pioruna. Pień upadł bezdźwięcznie u jej stóp. Podeszła do Luke'a i wtuliła się w jego ramiona. Poczula radość, lecz nagle ktoś wepchnął ją do chłodnego strumienia.

Spod powierzchni wody ujrziała Anabelle, która z uśmiechem podawała Luke'owi dłoń. Gwen rozpaczliwie próbowała wydostać się na brzeg, lecz jakaś siła trzymała ją na dnie.

I nagle, nie wiedzieć jak, znalazła się na brzegu. Przeistoczyła się w modelkę, Bradley ją szkicował, siedząc u jej stóp.

Zobaczyła Luke'a, który podchodził do niej z siekierą w ręku. Chciała uciec, lecz nogi i ręce zmieniły się w kamień. Luke zbliżał się coraz bardziej... i nagle zaczął się rozpływać, przemieniać w mgłę.

I oto ujrzała, jak w jej kierunku idzie Michael. Zamiast siekiery miał aktówkę pod pachą. Spojrzał z dezaprobatą na jej skamieniałe nogi, a potem skomentował:

– Mówiłem ci przecież, że jesteś zimną kobietą.

Gwen próbowała zaprzeczyć, lecz jej szyja również zmieniła się w kamień. Gdy Michael ją podniósł i zaczął nieść, niezrozumiale cicho coś krzyknęła, lecz to było wszystko, na co mogła się zdobyć.

Gdy usłyszała, jak Luke woła jej imię, Michael ją upuścił. Spadła z hukiem, była wszak z kamienia... i obudziła się.

Kompletnie zdezorientowana wpatrywała się w szaro–niebieskie oczy.

– Luke, nie jestem zimną kobietą – szepnęła, nie mając pewności, czy to już jawa, czy jeszcze sen.

– Nie jesteś. – Odgarnął jej włosy z policzka. – Z całą pewnością nie jesteś.

Ten dotyk nie zdarzył się we śnie...

– Pocałuj mnie. Nie chcę zamienić się w kamień – rzuciła z rozdrażnieniem.

Rozbawiony Luke zbliżył usta do jej ust.

– Oczywiście. Któż by chciał?

Z westchnieniem objęła go za szyję, ciesząc się ciepłą łagodnością pocałunku. W jej nogi wróciło życie, usta błagały o więcej. Pocałunek stawał się coraz głębszy. Nie, to na pewno nie sen! – pomyślała przerażona i zaczęła wyrywać się z jego objęć.



Luke nie uwolnił jej od razu. Najpierw nacieszył się smakiem jej ust, aż wreszcie odsunął się nieco. Lecz i tak znajdował się niebezpiecznie blisko.

– To musiał być piękny sen – wyszeptał. – Kobiety są niezwykle delikatne i ciepłe w czasie snu.

Policzki Gwen płonęły. Usiadła, wyprostowała się.

– Ty to masz tupet! – krzyknęła z wściekłością.

– Jakim prawem przychodzisz do mojego pokoju i mnie molestujesz?

– Zgadnij.

– Ty draniu! – Z oczu strzelała piorunami w drania, który śmiał uśmiechać się... seksownie! Chwyliła sukienkę, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

– Spokojnie. Nie przyszedłem skraść ci cnoty, tylko obudzić na kolację. – Musnął palcem podbródek Gwen.

– Reszta to twój pomysł.

– Ty, ty... – Z oburzenia na moment aż zapomniała ludzkiej mowy. – Ty łajdaku, spałam... a ty mnie wykorzystałeś...

– Owszem, wykorzystałem. – Przyciągnął Gwen i szybko ją pocałował. – Ale obojgu nam się to podobało.

– Wstał. – Ładnie ci w białym, lecz na kolację radzę przebrać się w coś bardziej oficjalnego, chyba że chcesz, by Bradley oszalał z pożądania.

– Już ty się o niego nie martw. Całe popołudnie szkicował mnie w tej sukience.

Rozbawienie natychmiast zniknęło z twarzy Luke'a. Podeszedł do niej z ponurą miną.

– Co takiego?

– Dobrze słyszałeś. Pozowałam Bradleyowi.

– W tym? – Luke obrzucił wzrokiem jej sukienkę, która bardziej przypominała zwiewną koszulkę.

– Tak. Czy to jakiś problem? – Gwen odrzuciła głowę, odsunęła się nieco. Jedwabna materia poruszała się zgodnie z ruchami jej ciała. – To nie twoja sprawa.

– Nie próbuj ze mną gierki, jeśli nie jesteś gotowa na przegraną – zareagował ostro.

– Co to, groźby? – oburzyła się. – Jesteś nie do zniesienia!

– A ty jesteś zepsutą smarkulą.

– Słucham?! Nie jestem żadną smarkulą, zapamiętaj to sobie! Pracuję w dużym piśmie, błyskawicznie awansowałam, podejmuję odpowiedzialne decyzje, i sama decyduję o sobie. Nieważne, czy mam ochotę pozować Bradleyowi w jedwabnej koszulce, w zbroi czy tylko brylantowe kolczyki mając za cały strój, to nie twój interes.

– Hm, osobiście wybrałbym kolczyki. Jeśli jednak ty je wybierzesz do pozowania, połamię Bradleyowi wszystkie palce.

– Boże, co za kretyn. – Wzniosła oczy ku niebu. – Typowy facet, czyli kretyn. – Spojrzała na niego z politowaniem. – A już miałam nadzieję, że jesteś wyjątkiem i masz choć trochę rozumu.

– Naprawdę? – Rozbawiony Luke pociągnął ją lekko za włosy. – No to się pomyliłaś.

– Rany, nie szarp mnie! – mknęła. – Mądry Bóg stworzył kobietę, lecz jeśli chodzi o facetów, to strasznie sfuszerował.

– Pewnie masz rację z tą fuszerką, ale nie łudź się, kobiety wcale nie są lepsze.

– Doświadczony mędrzec się odezwał – rzuciła z jadowitą pogardą. – Każdy facet to arogancka, wyniosła i samolubna...

- Świnia? – podrzucił uprzejmię.
- Co za precyzja słowa, jak na pisarza przystało.
- Cieszę się, że mogłem pomóc. – Przysiadł na łóżku, patrząc na Gwen.

Migające światła zachodzącego słońca podkreślały rysy jej twarzy.

– Zawsze uważacie, że wszystko wiecie najlepiej i że kobiety nie potrafią same podejmować decyzji. Tylko wydajecie polecenia, nakazy, zakazy, a kiedy nie osiągniecie celu, krzyczycie, obrażacie się i traktujecie nas protekcjonalnie. Nienawidzę, nie znoszę, gdy ktoś traktuje mnie jak głupią. Gardzę tym! – Zaciśnięte dłonie w pięści, Gwen wcisnęła je do kieszeni. – Nie lubię, gdy ktoś mówi, że jestem słodka takim tonem, który znaczy „słodka idiotka”. Nie znośzę głaskania po głowie. A kiedy już facet przestanie mnie obrażać, wysysa ze mnie wszystkie siły, całe powietrze. A ja oczywiście powinnam być wdzięczna za okazane zainteresowanie. W końcu taka ze mnie prosta dziewczyna. – Ze złością uderzyła w ramę łóżka. – Nie jestem zimna, obojętna, głupia czy niedojrzała.

- Matko jedyna! Co za debil naopowiadał ci takich bzdur o tobie?
- Jeżeli debilem jest samo życie...
- A może cały ten twój Michael? Co za dupek... choć musiał być przekonujący.

– Duppek... ? – Odwróciła się do okna. Czuła się okropnie, ta rozmowa stała się zbyt osobista. Zarazem jednak Luke naświetlał pewne sprawy z ciekawej perspektywy...

- Kochałaś go?

Nie miał prawa o to pytać, odpowiedziała jednak spontanicznie:

- Nie, choć myślałam, że tak, więc wychodzi na to samo.
- Potraktował cię okropnie, same kłamstwa, fałsz na fałszu – powiedział ciepło, chwytając ją za ramiona.

– Zostaw mnie! I skończ z tym... Do cholery, przestań być taki miły. Nie potrafię walczyć, gdy taki jesteś.

– Tego właśnie chcesz? – Chwycił ją mocniej. – Chcesz ze mną walczyć?  
– Pocałował ją.

Gwen natychmiast zdrząła, opanowała się jednak błyskawicznie.

– Tak będzie lepiej. Walka z tobą to bezpieczniejsze wyjście.

– Bezpieczniejsze od czego? – Uśmiechnął się uwodzicielsko. Zmrok za oknem nadał ich sylwetkom magiczne kształty. – Jesteś piękna – wyszeptał, dotykając jej ramion, szyi.

Przez moment czuła się jak zahipnotyzowana.

– Nie, wcale nie jestem. Mam zbyt szerokie usta, spiczasty podbródek...

– Dzięki, że mnie oświeciłaś. – Przyciągnął ją mocniej do siebie. – Łuski spadły mi z oczu, wreszcie widzę, jaka koszmarna wiedźma z ciebie. Szkoda tych aksamitnych oczu i jedwabnej skóry dla takiego brzydactwa.

– Proszę... – Odwróciła się, a Luke dotknął ustami jej policzka. – Nie całuj mnie. Macisz mi w głowie. Nie wiem, co robić.

– A ja myślę, że doskonale wiesz, co robić.

– Luke, proszę – powiedziała bezradnie. – Przez te twoje pocałunki zapominałam o wszystkim i pragnę jedynie, byś znów mnie pocałował.

– Będę to robił z największą przyjemnością.

– Nie! – Odepchnęła go. – Boję się, Luke... Patrzył na jej drżące usta. Czuł, jak pulsuje jej krew.

Odetchnąwszy ciężko, odsunął się, na moment zapadł w głęboką zadumę, aż wreszcie spytał, z trudem konstruując zdanie:

– Zastanawiam się... Ciekawi mnie, Gwen... Gdybyśmy zaczęli się kochać... czy straciłabyś wtedy tę czarującą otoczkę niewinności?

– Nigdy na to nie pozwolę. – Wiedziała, jak niepewnie zabrzmiał jej głos.

– Jesteś zbyt uczciwa na takie słowa. Sama w to nie wierzysz. – Ruszył do wyjścia. – Powiem Anabelle, że przyjdiesz za kilka minut.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gwen pozowała już prawie od godziny. Bradley był jeszcze bardziej spostrzegawczy i bystrzejszy, niż dotąd sądziła, a przecież nie miała go za głupca. No i okazał się cichym tyranem. Kiedy tylko przystała na jego propozycję, całkowicie przejął kontrolę.

Posadził ją na środku ogrodu na białym fotelu z kutego żelaza.

Poranek był ciepły i słoneczny, choć na niebie zbierały się deszczowe chmury. Nad krzewem różanym przeleciał motyl. Gwen odwróciła głowę, by mu się przyjrzeć.

– Nie ruszaj się! – napomniął ją Bradley, a ona natychmiast przyjęła poprzednią pozycję. – Dzisiaj szkicuję tylko twoją twarz.

Burknęła pod nosem coś w stylu „podły satrapa”, ku jego zresztą uciechu.

– Już rozumiem, dlaczego w magazynie pracujesz za kulisami, a nie przed kamerą. Nie potrafisz usiedzieć na miejscu!

– Toż to istna tortura! Ty sobie malujesz, a ja jak ten kołek. Już taką mam naturę, że wciąż mnie nosi, wciąż mam coś do zrobienia. Kto normalny zdoła tyle wysiedzieć? Zawód modelki to istna katorga – marudziła.

– A gdzie twoje typowe dla południowca rozleniwienie? – zapytał Bradley, szkicując zbłąkany kosmyk. Wiedział, że zdoła utrzymać Gwen w miejscu tylko wtedy, gdy będzie zabawiał ją rozmową, choć wolał pracować w milczeniu.

– Nigdy nie byłam leniwa. – Oparła nogę na krześle, obejmując ją ramionami. Rozkoszowała się urzekającym zapachem ogrodu. – A życie w Nowym Jorku tylko pogorszyło sprawę. Choć... – Zawahała się, zerknęła w prawo i lewo, choć tym razem pamiętała, by nie ruszać głową. – Jaki tu spokój,

prawda? Zupełnie wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju. Dotarło do mnie, jak bardzo za tym tęskniłam.

– Czy twoja praca jest bardzo absorbująca? – spytał, dopracowując linię brody.

– Hm... Zawsze gonią nas jakieś terminy, których nie sposób dotrzymać, a jednak nam się udaje. Poza tym mam do czynienia z modelkami i fotografami, a to histeryczne i neurotyczne stworzenia, co i rusz trzeba uspokajać, dopieścić rozdęte ego...

– Dobrze ci to wychodzi? – Przymrużył oczy, by znaleźć lepszą perspektywę.

– Sama się dziwię, ale tak. I lubię wyzwania związane z dotrzymaniem terminów.

– Mnie to nigdy dobrze nie wychodziło... Przesuń trochę brodę.

– Fakt, nie wszyscy to potrafią, ale ja muszę. To miesięcznik, więc termin rzecz święta, wszystko się kręci wokół tego magicznego słowa. – Gwen zamilkła, wsłuchując się w bzyczenie pszczół między krzewami azalii. – Skąd pochodzisz? – spytała po chwili. Naprawdę była ciekawa. Dziwny facet, tyczkowaty brzydal obdarzony talentem, kontemplujący świat mądrymi oczami, intrygował ją.

– Z Bostonu... Przekręć głowę nieco w prawo... tak dobrze.

– Z Bostonu? Powinam się była domyślić. Satrapa z harwardzkim akcentem, czasem nawet mówisz i zachowujesz się wytwornie, jak prawdziwy dżentelmen.

– Gdy Bradley zachichotał, spytała: – Dlaczego zostałeś artystą?

– To mój ulubiony sposób komunikowania się ze światem. Zawsze lubiłem szkicować. Nauczyciele wciąż zabierali mi szkicowniki. No i na ludziach robi to wrażenie. Artysta, ho, ho...

Gwen się roześmiała.

– Ostatni powód raczej nie był najważniejszy, przyznaj się.

– Nie bądź tego taka pewna – mruknął, szkicuując łuk jej policzka. – Lubię być chwalony. Nie każdy jest tak samowystarczalny jak ty.

Zapominając o srogich zaleceniach, zwróciła ku niemu głowę.

– Tak właśnie mnie widzisz?

– Czasami. – Uniesieniem brwi nakazał jej powrót do poprzedniej pozycji. Przez chwilę uważnie badał profil.

– A jeśli już taka jesteś ciekawa, to powiem ci, jak to ze mną jest. Wypracowałem sobie idealną jak dla mnie pozycję. Jestem dobrym artystą, dzięki czemu nie tylko robię to, co lubię, ale i z tego godnie sobie żyję. Zarazem nie dążę do tego, by uznano mnie za geniusza, nie mam parcia na wielką karierę. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak, oczywiście. Walka o szczyty zupełnie do ciebie nie pasuje. Wiem, jak to wygląda, takich walecznych widziałam już setki. A ty jesteś zbyt niezależny i zbyt niecierpliwy. – Pomyślała o energicznej, rzeczowej Gwen Lacrosse z magazynu „Styl”, praktycznej, kompetentnej kobiecie, która świetnie się zna na swojej pracy, doskonale sobie radzi z zadaniami i z ludźmi, jest dobra w konkretach i liczbach. Istnieje jednak również inna Gwen Lacrosse, która uwielbia stare, pachnące ogrody, ogląda w telewizji wyciskacze łez i podczas deszczu jeździ kabrioletem. Michaelowi podobała się ta pierwsza Gwen, natomiast druga napawała go rozpaczą.

Westchnęła bezradnie. Nigdy nie starała się zrozumieć tej sprzeczności w swoim charakterze... czy też owej dwoistości świata... po prostu tak było, naturalnie i bezrefleksyjnie... aż poznała Luke'a Powersa.



Luke Powers. Nie chciała o nim myśleć. Nie wszystko układało się tak, jak to sobie zaplanowała. Co gorsza, nie była pewna, czy kiedykolwiek się ułoży.

Uniosła głowę. Bradley już miał zwrócić jej uwagę, lecz znalazłszy nowy ciekawy kąt, wrócił do szkicowania. W jej włosach igrały czerwone przebliski słońca. Z zachodu napływały chmury. Zanosilo się na burzę. Pewnie uderzy, gdy będzie się tego najmniej spodziewała. Choć dzień był słoneczny i przyjemny, gdzieś pod powierzchnią czaiła się furia żywiołów. Pomimo gorąca, Gwen zadrżała. Rzuciła okiem na dom.

Luke stał w oknie i przyglądał się jej. Ciekawe, jak długo już tak stoi w milczeniu i wpatruje się w nią bez zażenowania.

Postanowiła odwzajemnić jego spojrzenie. Nawet z takiej odległości czuła moc jego wzroku. Dziwne i niepokojące...

Luke, jak gdyby wyczuł jej reakcję, uśmiechnął się leniwie, arogancko, wciąż utrzymując kontakt wzrokowy. Gwen wyczytała w nim wyzwanie. Odwróciła się gwałtownie.

Bradley uniósł brwi, widząc jej zagniewaną twarz.

– Na dziś już wystarczy. – Wstał z kamienia. – Jutro rano włóż sukienkę. Wymyśliłem już pozę. Sprawdzę, czy uda mi się wydebić od Tillie kawałek ciasta czekoladowego. Chcesz trochę?

– Nie – odparła z uśmiechem. – Niedługo będzie obiad. Zajmę się chwastami. Mama trochę zaniedbała ogród.

– Jest zapracowana – stwierdził Bradley, wciskając ołówek za ucho.

Zapracowana? Gwen zmarszczyła czoło. Anabelle nie wyglądała na szczególnie zajęta. Właściwie to czym się zajmuje? Być może chodziło jedynie o pokazanie córce, że też ma tutaj jakieś życie.

Anabelle lubiła co jakiś czas znikać... Gwen znów zerknęła w okno Luke'a. Tym razem było puste.

Wszystko wróci do normy, gdy tylko Luke wyjedzie. Anabelle to delikatna kobieta, która każdego obdarza kredytem zaufania. Nie potrafi się bronić przed takimi facetami jak Luke Powers.

– A ja? – szepnęła, a potem zakłęła pod nosem i ze złością wyrwała z ziemi bezbronną petunię. – Ojej! – Z przykrością wpatrywała się w kolorowy kwiat.

– Coś cię zdenerwowało? – Luke, ukucnąwszy koło niej, wyjął kwiat z jej dłoni i umieścił za uchem Gwen.

Przypomniawszy sobie różę, poczerwieniała.

– Zostaw mnie. Jestem zajęta.

– A ja jestem wolny. Pomogę ci.

– Nie masz nic innego do roboty? – Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem, wrywając gwałtownie pozostałe chwasty.

– W tej chwili nie. Zaletą samozatrudnienia jest to, że zazwyczaj szef, czyli ja, ustala pracownikowi, czyli mnie, grafik zajęć.

– Zazwyczaj?

– Gdy już zagnasz siebie do roboty, przykuwasz się do maszyny do pisania i prawie bez przerwy zasuwasz aż do słodkiego słówka „koniec”.

– To dziwne – mruknęła jakby w przestrzeń, ignorując jego obecność. – Ciężko mi sobie wyobrazić niejakiego Luke'a Powersa przykutego do czegośkolwiek. To taki wolny duch, pan Tędyiowędy. – Wreszcie raczyła na niego spojrzeć. – Już samo wymyślanie tych wszystkich postaci i zmuszanie ich, by robiły to czy tamto, musi być bardzo żmudne i trudne. A tu jeszcze trzeba świątek i piątek walić palcami w klawiaturę, by wszystko przelać na papier. Istna katorga. Dlaczego zostałeś pisarzem?

– Bo uwielbiam słowa. Oraz dlatego, że ludzie, którzy zamieszkali w mojej głowie, bardzo chcą się z niej wydostać. Mówię szczerze. Teraz ty odpowiedz szczerze na moje pytanie. O czym myślałaś, patrząc w niebo?

Gwen zmarszczyła czoło. Nie miała ochoty tego mu zdradzać. W żadnym razie!

– Myślałam o nadchodzącym deszczu. Czy musisz mi się tak przyglądać?

– Tak.

– Jesteś niemożliwy!

– A ty jesteś piękna. – Aż zadrżała pod jego spojrzeniem. Nim zdążyła się obrócić, złapał ją za brodę. – Z oświetlonymi słońcem włosami i mglistym spojrzeniem wyglądasz jak dziewczyna z moich marzeń. Pragnę cię. – Zbliżył usta do jej ust.

– Nie rób tego. – Próbowwała się odsunąć, lecz Luke jej nie puszczał.

– Nie tak szybko – odrzekł miękko.

Jego pocałunek był delikatny jak dotknięcie motyla. Gwen poddała się nastrojowi chwili. Dotąd jej namiętność była uspiona jak burza czyhająca za zasłoną z chmur. Drżała ogarnięta pożądaniem. Luke dotykał jej policzków, loczków na skroniach, by znów ją pocałować. Gwen złapała go za koszulę i wykrzyczała jego imię.

Spragniona miłości, zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie. Pochłonał ich ogień namiętności... i nagle Luke odsunął ją od siebie.

– Nie. – Wpatrywała się w niego zdumiona, oszołomiona. – Nie.

Nim zdołała odejść, Luke chwycił ją za rękę.

– Nie co? – spytał spokojnie.

– To nie w porządku... – Tak naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć. – Puść mnie.

– Za chwilę, Gwen... Przecież chcesz tego tak samo jak ja.

– Nieprawda! – Bezskutecznie próbowała wyrwać dłoń.

– Nie przypominam sobie, żebyś protestowała. Tak naprawdę to ty wzięłaś sprawy w swoje ręce.

– Dobrze już, dobrze... Wygrałeś. Okej, moja wina. Po prostu... zapomniałam.

– O czym? – spytał z uśmiechem.

– O tym, że cię nie lubię – mknęła. Bardzo ją rozdrażniło jego rozbawienie. – Rany, możesz wreszcie mnie puścić? Bo wiesz, wróciła mi pamięć.

Luke wybuchnął śmiechem, jednak wreszcie puścił jej rękę.

– Kusisz, bym znów zmusił cię do zapomnienia.

– Mocno ją pocałował. – Wracamy do pielenia? – zapytał uprzejmie.

– Do diabła! – krzyknęła oburzona. – Wracaj sobie, dokąd tylko...

– Gwen! – W ogrodzie pojawiła się matka Gwen.

– Tu jesteście. Jak miło.

– Witaj, Anabelle. Postanowiliśmy zająć się twoim ogrodem – oznajmił Luke.

Z uśmiechem rzuciła okiem na kwiaty.

– To miłe, dziękuję. Nie dbam o niego tak sumiennie, jak powinnam, ale... – Spojrzała na pszczołę szukającą pąku róży. – Wrócimy do tego później. Tillie przygotowała obiad i chciałaby go już teraz podać. Ma dziś wolne popołudnie. – Zwróciła się do córki: – Kochanie, idź umyć ręce i proszę, nie wychodź już na słońce. Mocno się spiekłaś, cała jesteś czerwona.

Gwen wyczuła, jak Luke szeroko się uśmiecha.

– Masz rację – mruknęła, zła na tego drania, że tak bardzo miesza jej w głowie.

Nieświadoma ognia płonącego w duszy córki, Anabelle dotknęła jej policzka, lecz jej uwagę odwróciło brzęczenie pszczoły.

– Pozowałam rano Bradleyowi, prawda?

– Tak. Prawie dwie godziny.

– To takie ekscytujące! – Anabelle próbowała znaleźć potwierdzenie w oczach Luke'a, lecz ten nie zareagował. – Portret namalowany przez prawdziwego artystę! Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć skończone dzieło. Na pewno je kupię i powieszę nad kominkiem w salonie. To znaczy... – Spojrzała na córkę. – Chyba że chcesz go dla siebie i Michaela.

– Mamo, nie jestem już z Michaelem. Mówiłam ci. – Gwen wsunęła dłoń do kieszeni z nadzieją, że Luke się odezwie, zamiast przyglądać się jej tylko tymi spokojnymi, szaroniebieskimi oczami. Dlaczego nigdy nie wiadomo, o czym myśli? – Poza tym Michael nigdy nie kupiłby obrazu nieznanego artysty. Bo co to za inwestycja? – Czyżby nie zdołała skryć urazy w swym głosie? Nie, nie zdołała, bo Luke uniósł lekko brwi. Do diabła, dlaczego nigdy nic mu nie umknie?

– Ale jeśli byłby to twój portret... – zaczęła Anabelle, lecz widząc minę córki, porzuciła tę myśl. – Na pewno będzie piękny. Prawda, Luke?

– Bez wątplenia. Bradley ma nad czym pracować. To znaczy... – Przerwał, a Gwen, nie mogąc się powstrzymać, spojrzała mu w oczy. – O ile Gwenivere uda się do końca usiedzieć w bezruchu.

Rozzłościło ją rozbawienie w jego głosie, lecz nim zdążyła odpowiednio zareagować, Anabelle roześmiała się serdecznie.

– Fakt, moja córka to istny dynamit! Była prawdziwym utrapieniem – powiedziała czule. – Gdy miałam uczesać jej włosy, żalowałam, że nie mam łańcuchów, by przykuć ją do krzesła. Cóż to była za szarpanina! Tymczasem pod koniec dnia po pięknej fryzurce nie było śladu, po prostu strzecha. A

ubrania! Dziury na kolanach, porwane szwy, to był chleb powszedni. A na deser... Och, Luke, muszę ci to opowiedzieć! – Zachichotała. – Pewnego razu moja śliczna ośmioletnia córeczka, po prostu aniołek, na powitanie naszego szanownego pastora...

– Mamo! – przerwała jej ostro Gwen. – Luke'a nie obchodzi stan mojej odzieży ani konflikty z wielebny.

– Przeciwnie, aż płonę z ciekawości. Naprawdę. To świetne obrazki rodzajowe, może je wykorzystam w powieści.

– Cóż, pewnie masz rację – rzuciła w zadumie Anabelle.

– Małe dziewczynki, a już szczególnie takie, które bez przerwy rozwalają sobie kolana i zadzierają z pastorem, budzą we mnie ogromną sympatię. Założę się, że Gwen często wprawiała wszystkich w konsternację swoim niewyparzonym językiem, no i wciąż wymagała medycznej pomocy.

– Rany, możecie przestać? – Gwen czuła się absurdalnie, jakby próbowano znów zrobić z niej malucha.

– Każdy dzieciak ma swoje przygody, a jeśli ich nie ma, to tylko zapłakać nad nim.

Anabelle wyrwała się z zadumy i spojrzała na córkę.

– To prawda, wciąż miałaś jakieś przygody. Nie pamiętam dnia, kiedy nie musiałabym opatrywać jakiejś rany. Kiedyś przyszłaś do mnie z haczykiem w dłoni – wzdrygnęła się na to wspomnienie – a potem z guzem wielkim jak jajo. Codziennie coś ci się przytrafiało.

– Mamo! – Gwen zgmiotła w dłoni różę. – Mówisz, jakbym była chodzącą katastrofą.

– Po prostu roznosiła cię energia, kochanie. – Anabelle zmarszczyła czoło, widząc sponiewieraną różę, lecz nie skomentowała tego. – Nieustannie bałam się o ciebie, bo pchałaś się w takie awantury. Ciągnęło cię na bagna... A

pamiętasz, jak namówiłaś inne dzieciaki i wyruszyliście na poszukiwanie pirackiego skarbu? Och, to była prawdziwa zgroza! Ale szczęśliwie dorostaś, więc niepotrzebnie się martwiłam.

– Mamo... – Gwen rozumiała doskonale, jak wiele trudu, wyrzeczeń i strachu kosztowało Anabelle wychowanie tak niesfornego i żywiołowego dziecka. Gwen położyła dłonie na jej ramionach. – Kocham cię i cieszę się, że jesteś moją matką.

Zaskoczona Anabelle ucałowała córkę w policzki.

– Jak miło to słyszeć, zwłaszcza od dorosłej córki.

– Uściskała ją.

Luke nadal się im przyglądał. Poczula się skrepowana pod ostrzałem jego spojrzenia.

Co tak naprawdę do niego czuła? Jak w ogóle mogła cokolwiek do niego czuć, gdy stoi między nimi najdroższa jej kobieta? Gwen czuła się jak w potrzasku. W jej oczach zamigotała panika.

– Masz dużo szczęścia, Anabelle. – Mówiąc to, Luke wciąż wpatrywał się w Gwen. – Miłość to bezcenny dar.

– Wiem. – Znów pocałowała córkę w policzki.

– Mam ochotę to uczcić. Wypijmy wino do obiadu. Obiad! Matko jedyna! Zupełnie zapomniałam! Tillie nas zabije. – Położyła rękę na sercu. – Pójdę pierwsza i ją udobrucham. A jak już się zjawicie, to chcę słyszeć same peany o potrawach. – Zniknęła za drzwiami domu.

Gwen ruszyła za nią, jednak Luke złapał ją za rękę.

– Poczekaj, niech się wykaże w sztuce dyplomacji. Gwen odwróciła się w jego stronę.

– Nie chcę tu z tobą być.

– Dlaczego? Nie wyobrażam sobie lepszych okoliczności. Piękny ogród... wspaniały dzień... – Zaczął gładzić jej włosy. – Powiedz mi, o czym myślałaś, gdy ścisłaś matkę i patrzyłaś na mnie?

– Nie twój interes – burknęła, usiłując uwolnić się z jego dotyku.

– Naprawdę? – Bawił się jej lokami. W oddali rozległ się odgłos burzy. – Odniosłem wrażenie, że twoje myśli dotyczyły również mnie. Mam rację?

– Masz strasznie bujną wyobraźnię. Lepiej zajmij się pisaniem.

– Właśnie w tym rzecz. Mam pisarską intuicję – odparł wielce zadowolony z siebie.

– Raczej rozbuchane męskie ego... Rany, zabierz te łapy! – Wzdrygnęła się gwałtownie.

– A może jestem wyczulony na świat kobiecych przeżyć? – Uniósł jej dłoń do ust i mimo protestów Gwen, ucałował ją, a potem skrzyżował palce z jej palcami. Stali tak ręka w ręka, a burza była coraz bliżej.

– Dzięki temu widzę, jak kobieta, która jest mną zainteresowana, nie chce tego przyznać.

Zmrużyła oczy.

– Boże, co za zarozumiałość! Egocentryk do kwadratu... nie, do sześcianu!

– A może inaczej? Po prostu szczerzy do bólu. Udowodnić ci?

– Nie ma czego udowadniać. – Zdała sobie sprawę, że nie zdoła wyrwać dłoni z jego uścisku, spróbowała więc z innej beczki: – Popatrz na niebo, coraz więcej chmur. Lepiej, żeby nie złapał nas deszcz.

– Mamy jeszcze chwilkę. – Nawet nie spojrział w niebo. – Dlaczego stajesz się przy mnie taka nerwowa?

– Nie schlebiaj sobie.



– Widać, jak szaleje ci tętnica szyjna. Nawiasem mówiąc, nadzwyczaj pociągająca...

– Zawsze pulsuje, gdy jestem poirytowana.

– Podobasz mi się, gdy jesteś rozeźlona. Lubię przyglądać się twoim minom, ciemniejącym oczom... ale... – chwycił ją za nadgarstki – w tej chwili chodzi raczej o nerwy.

– Myśl sobie, co chcesz. – Ze wszystkich sił próbowała się uspokoić. – Wcale się przy tobie nie denerwuję.

– Nie? – Uśmiechnął się drapieżnie. – Cóż, mała różnica zdań... Mam ochotę jakoś cię przekonać. – Przyciągnął ją do siebie.

– Uspokój się! – Wiedziała doskonale, że się z nią drażni. Gotowa do walki, czekała na jego ruch.

– Teraz jednak umieram z głodu. – Z uśmiechem pocałował ją w czubek nosa. – I wolę nie drażnić Tillie. – Puścił Gwen. – Chodźmy coś zjeść – oznajmił, kompletnie ignorując jej wściekłe spojrzenie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zauważyła w matce kilka drobnych zmian. Przede wszystkim stała się dziwnie tajemnicza. Tak często znika, myślała Gwen, usadowiwszy się przy starym fortepianie. Wpada, a już po chwili jej nie ma, no i stanowczo za wiele czasu spędza z Lukiem Powersem. Zawsze gdy do nich podchodziła, przerywali rozmowę. Czuła się przy nich jak intruz.

Zaczęła coś brzdąkać na fortepianie. Do salonu wpadła delikatna bryza. Zapach jaśminu drażnił zmysły Gwen.

Po prostu była zazdrosna, musiała to przyznać. Oczekiwała, że matka poświęci jej całą uwagę, a tak się nie działo. Ogarnął ją głęboki smutek... i nagle spod jej palców popłynął nokturn Chopina. Cudowna muzyka radowała swym pięknem, lecz nie odpędzała smutku, jakby tuliła w płaczu.

Właściwie to czy mama poświęcała mi kiedykolwiek całkowitą uwagę? – pomyślała Gwen. Zawsze liczyli się goście, ważne były antyki, kwiaty...

Wracając pamięcią do czasów dzieciństwa, przypomniała sobie, jak kojąco działała na nią gra na fortepianie. Uświadomiła sobie też, jak niewiele czasu poświęcała na rozmyślania o życiu. Powinna się cofnąć i zastanowić nad tym, dokąd gna ją los. Musiała się dowiedzieć, czego jej brakuje. Rozbrzmiała ostatnia nuta.

– To było piękne – stwierdził Luke. – Naprawdę.

Gwen wzdrygnęła się, wyrwana z zadumy. Zmusiła się, by spojrzeć na Luke'a, starając się nie oblać rumieńcem. Dlaczego wczoraj wieczorem powiedziała to, co powiedziała? Koszmarny błąd... Zaczynała się czuć coraz bardziej bezbronna. Luke wiedział o niej znacznie więcej, niżby chciała.

– Dziękuję – rzekła uprzejmie. – Mama zawsze mówiła, że kiedyś będę jej wdzięczna za lekcje muzyki, do których mnie zmuszała.

Ku jej zakłopotaniu, Luke przysiadł obok.

– Zmuszała?

– No, taki cichy nacisk. Jak zwał, tak zwał, ale efekt ten sam.

– A ty nie rwałaś się do tych lekcji?

– Wolałam łowić raki. – Zdumiała się, gdy Luke zaczął grać razem z nią.

– Nie wiedziałam, że też potrafisz grać na fortepianie.

– Cóż, też mam matkę. To prawda, wolałam wspinać się po skałach, ale ten cichy nacisk...

Roześmiała się szczerze. Wreszcie zdołał ją rozbroić. Zarazem można było wyczuć, że coś działo się między nimi. Coś tak potężnego jak namiętności i pożądanie – i coś tak delikatnego i kojącego, jak muzyka płynąca z fortepianu.

– Jakie to cudowne – rzuciła stojąca w drzwiach Anabelle. – Duety są czarujące!

– Mamo! – zawołała Gwen, zadowolona, że głos jej nie zadrżał – szukałam cię.

– Naprawdę? Przepraszam, kochanie, byłam zajęta... tym i owym. Dziś nie pozujesz?

– Och, rano spędziliśmy z Bradleyem bite dwie godziny. Mam szczęście, że woli poranne światło, inaczej musiałabym siedzieć jak kołek cały dzień. Może masz dla mnie jakąś robotę? Albo gdzieś pojedźmy. Dzień jest taki piękny.

– To prawda. – Anabelle z uśmiechem przeniosła spojrzenie na Luke'a. – Kochanie, chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła, ale tyle z tym zachodu...

– Nie ma sprawy, mam.

– Wiesz, potrzebuję nici do haftowania, ale chodzi o nietypowe odcienie, które bardzo trudno dostać. Na francuskim targu jest taki sklep, w którym powinnaś je znaleźć.

– Ojej, aż w Nowym Orleanie?

– Tyle zachodu, prawda? – Anabelle westchnęła. – To nic ważnego.

– Naprawdę żaden problem, mamó. Poza tym chętnie przejadę się do Nowego Orleanu. Teraz będę tam turystką.

– Wspaniały pomysł! Spacer najstarszymi uliczkami miasta, zakupy, jazz. I koniecznie kolacja w uroczej restauracji. – Klasnęła w dłonie. – To jest to!

– Brzmi nieźle. – Uśmiechnęła się na ten dziecinny entuzjazm mamy. Zakupy były ulubioną rozrywką matki. – Zapowiada się idealny dzień.

– Zatem wszystko ustalone. – Anabelle, nie kryjąc satysfakcji, spojrzała na Luke'a. – Pojedziesz z Gwen, prawda? Szkoda, żeby jechała sama.

– Sama? – zdumiała się Gwen. – To ze mną nie jedziesz?

– To taki kawał drogi. Potrzebujesz towarzystwa.

– Nie, mamó...

– Z przyjemnością. – Luke nie dopuścił jej do głosu, uśmiechając się jak skończony drań. – Nie można lepiej zaplanować dnia.

– Gwen, kochanie, tak się cieszę, że o tym pomyślałaś.

Ja pomyślałam? – zdumiała się, patrząc w naiwne oczy matki. Owszem, kochała Anabelle, jednak tyle przez nią przeżyła frustracji i kłopotliwych sytuacji...

– Jasne, prawdziwy geniusz ze mnie – mruknęła zgryźliwie.

– Pewnie, że tak. – Anabelle wyściskała ją czule. – Lepiej się przebierz. Nie możesz jechać do miasta w spranych dżinsach. Myślałam, że wyrzuciłam je, gdy miałaś piętnaście lat. Tak, jestem pewna, że to zrobiłam. Cóż, biegnij już i baw się dobrze. Mam tyle roboty, że nie wiem, w co ręce włożyć.

– Mamo, a nici?

– Nici? Ach tak, nici... Zapiszę ci kolory i nazwę sklepu. Rany, jaka ja jestem roztrzępana! Powiem Tillie, że nie będzie cię dziś na kolacji. Strasznie się na mnie denerwuje, gdy o czymś zapominam. – Zniknęła w korytarzu.

– Na twoim miejscu bym je schował – zasugerował po cichu Luke. – Jeszcze ci je wyrzuci!

– To ja już pójdę – stwierdziła Gwen, wstając. Zanim jednak opuściła salon, Luke złapał ją za rękę.

– Spotkamy się za dwadzieścia minut. Pojedziemy moim wozem.

Gwen chciała się jakoś odgryźć, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Zgoda. Postaram się nie spóźnić. – Dostojnym krokiem opuściła pokój.

Pogoda na przejażdżkę była idealna – słoneczne, bezchmurne niebo, lekki wiaterek. Gwen miała na sobie śnieżnobiałą, jedwabną sukienkę. Rozpuściła włosy. Z ułożonymi grzecznie na udach dłońmi, odpowiadała na pytania Luke'a uprzejmymi, chłodnymi monosylabami. Kupi nici, zaliczy szybką wycieczkę po mieście i wróci do domu. Przez cały czas będzie niedostępna damą. Właśnie tak.

Po godzinie uświadomiła sobie, że utrzymywanie dystansu to niezwykle trudne zadanie. Zapomniała już, jak bardzo lubi stare ulice Nowego Orleanu, unikalne balkony z kutego żelaza, kwitnące rośliny, urokliwe, drewniane okiennice i wiekowe budynki. Uwielbiała subtelną magię tego miejsca. Powietrze było delikatne, świeże, pachnące kwiatami, przyprawami, wodą.

– Pięknie tu, prawda? To najbardziej stabilne miasto, jakie znam – oznajmił Luke.

– Stabilne? Dlaczego?

– W ogóle się nie zmienia. Po prostu trwa.

Ujął jej dłoń i ruszył chodnikiem. Próbowwała się wyrwać.

– Nie musisz mnie trzymać za rękę – stwierdziła sztywno.

– Muszę. Lubię to.

Nie odezwała się ani słowem. Dłoń Luke'a była twarda, zdradzała zamiłowanie do pracy fizycznej. Wspomniała, jak pieścił jej szyję... i nagle Luke przyciągnął ją do siebie i pocałował w oszałamiający sposób. Nie zdążyła nawet zaprotestować, gdy odsunął się, by kontynuować przechadzkę. Kilku przechodniów zaczęło klaskać.

Mijali ulicznych artystów. Przystawali, by przyjrzeć się portretom turystów, obrazom przedstawiającym pejzaże i tajemnicze bagna. Gwen była rozdarta między radością z pobytu w ukochanym mieście a demonstracyjnym ignorowaniem pewnego faceta. Nagle przypomniała sobie, po co tu przyjechała. Już miała przypomnieć Luke'owi o niciach, gdy ujrzała ulicznego magika. Ubrany był na czarno, nosił zawadiacki beret, imponował i bawił zarazem absurdalnie bujnymi wąsiskami.

– Popatrz! Jest cudowny! – Spontanicznie pociągnęła za sobą Luke'a.

Przyglądali się kolorowym chustkom wyczarowywanym przez magika, ogromnym bukietom papierowych kwiatów wyrastających z dłoni i monetom wyciąganym z uszu przechodniów. Klauni zabawiali turystów, nadając balonom kształty żyraf i pudli. W oddali słuchać było dźwięki gitar.

Zapomniawszy o twardym postanowieniu, Gwen uśmiechnęła się do Luke'a, który wrzucił magikowi pieniądze do pudełka, po czym złapał ją za brodę.

– Wiedziałem, że to nie potrwa długo.

– Co? – Odruchowo odrzuciła włosy z twarzy.

– Za bardzo cieszę cię takie rzeczy. Nie potrafisz być chłodna. Nie, nie rób tego. – Musnął jej nos, gdy zmarszczyła brwi, po czym delikatnie pocałował jej palce. – Zostańmy przyjaciółmi.

Ciepła od uścisku dłoni dzięki pocałunkowi stała się jeszcze cieplejsza. Gwen wiedziała, że urok Luke'a to kwestia wprawy, a uśmiech to doskonała broń. Musiała być ostrożna.

– Wolałabym, by nie zaszło to tak daleko. – Była i czujna, i rozbawiona zarazem.

– Znajomi z wycieczki? – Potarł kciukiem jej palce. – Kupię ci lody.

Nieodparty urok Luke'a zaczął zwyciężać.

– Cóż... – Nie stanie się jej od tego wielka krzywda. Dlaczego nie cieszyć się miastem, magią... Lukiem. – Poproszę dwie gałki – odparła z uśmiechem.

Spacerowali, ciesząc się cieniem i słońcem. W parku gruchały tysiące gołębi. To tu, to tam mijali siedzących lub śpiących na ławkach ludzi. Skryta w cieniu dziewczyna grała na flecie.

Przeglądali się brązowym wodom rzeki Missisipi. Gawędzili o tym i owym, w tle rozlegała się leniwa muzyka. Kościelne dzwony oznajmiły upływ czasu. Rozbawił ich widok chłopca, który uciekł matce i wskoczył do fontanny, chlapiąc i zanosząc się śmiechem.

Szli Bourbon Street, a wokół jazz, country i rock mieszały się z sobą w jedną fascynującą melodię. Zatrzymali się, by posłuchać saksofonisty, którego tęskna muzyka sprawiła, że łzy napłynęły Gwen do oczu.

W restauracji przy zatłoczonej uliczce jedli krewetki, pili zimne wino. Nie śpieszyli się, obserwując znikające wolno słońce. Przyjemnie zmęczona Gwen rozkoszowała się resztkami sernika, kontemplując pierwsze gwiazdy na ciemniejącym niebie. Uliczką spacerowali roześmiani ludzie.

Luke spojrzał na nią znad kieliszka.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – spytała, uśmiechając się lekko.

– Wyjątkowo głupie pytanie. Jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem. – Odetchnęła głęboko. Zapach miasta wypełniał jej zmysły.  
– Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył. Zbyt dużo widzisz. To niesprawiedliwe. Przyglądasz się ludziom i kradniesz ich myśli. To niezbyt przyjemne uczucie.

Położył dłoń na jej dłoni.

Gwen zmarszczyła czoło, uciekając z ręką.

– Potrafisz też zmuszać ludzi do mówienia. Wczoraj... Wczoraj powiedziałam coś, czego nie powinnam. Wścieka mnie to, że zdradziłam przed tobą swoje emocje. – Upiła wina. – Michael zawsze powtarzał, że jestem zbyt otwarta.

– Twoje emocje są piękne. Michael to dureń. Zaskoczyła ją czułość w jego głosie.

– Nieprawda. – Potrząsnęła głową. – Jest cudowny i z całą pewnością nie ma w sobie nic z durnia. Po prostu musi trzymać poziom. I z tym był kłopot, zaczęłam się czuć, jakby urabiał mnie do roli żony adwokata.

– Poprosił cię, byś za niego wyszła? – zapytał, dolewając wina.

– Był pewien, że się zgodzę. Wpadł w szal, gdy nie podskoczyłam z radości na jego oświadczyzny. Widziałam jedynie długi, wąski, prosty tunel pozbawiony okien, zakrętów, objazdów, niespodzianek. Koszmar. Jakbym dostała klaustrofobii. – Zmarszczyła nos. – Proszę, znów to zrobiłeś.

– Naprawdę? – Oparł się wygodnie. Włosy Gwen oświetlało światło księżyca.

– Wyznałam ci coś, co ukrywam nawet przed sobą. Zawsze udaje ci się odkryć, o czym ktoś myśli, lecz własne myśli starannie ukrywasz.

– Przelewam je na papier. Każdy może je przeczytać.

– Owszem, lecz skąd wiem, że to twoje prawdziwe myśli? Pisziesz ciekawe książki, ale nie wiem, kim naprawdę jesteś.

– A chcesz wiedzieć?



Zabrzmiało to jak wyzwanie. Gwen zawahała się, lecz odpowiedź sama cisnęła się na usta.

– Chcę.

– Ale nie jesteś pewna. – Wstał i wyciągnął do niej rękę. – Jesteś senna – stwierdził, patrząc w jej oczy. – Wracamy do domu?

– Nie. Jeszcze nie. – Złapała go za rękę.

Jechali porośniętą magnoliami alejką. Zapach nocy był delikatny, zmieszany z wonią Gwen drzemiącej na ramieniu Luke'a. Zatrzymał wóz i spojrzał na nią. Pograżone we śnie usta były subtelne i bezbronne. Po chwili wahania delikatnie odsunął ją od siebie.

– Gwen... – Przesunął palcami po jej ustach, a ona westchnęła. – Gwen – powtórzył głośniejszym głosem, a ona zatrzepotała rzęsami. – Jesteśmy na miejscu. – Lekko pomasaował jej ramię.

– Spałam? – Jej ogromne, ciemne oczy uśmiechały się do niego. – Nie chciałam, ale już późno.

– Miło spędziłem czas. Dziękuję.

Spontanicznie musnęła ustami jego wargi. Mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu, zdecydowanym ruchem odsuwając ją od siebie.

– Luke... ? – rzuciła zmieszana.

– Mówiłem ci kiedyś, że pograżone we śnie kobiety są delikatne i ciepłe. Mam słabość do takich kobiet.

– Nie chciałam zasnąć – mruknęła, podczas gdy Luke zaczął dotykać jej szyi. Choć nogi i ręce jej ciążyły, czuła się dziwnie lekka, swobodna. Samotna chmura przysłoniła księżyc, który zgasł, by za chwilę znów rozblysnął. Luke przyglądał się Gwen, wnikliwie badając każdy jej szczegół. Czuła na szyi jego palce. Były mocne i długie, zdradzały siłę nawet przy delikatnym dotyku. – Co masz na myśli?

Przysunął się do niej, delikatnie dotknął ustami jej ust, przymkniętych powiek, badając zarys policzków. Powolnymi, cierpliwymi ruchami dłoni potęgował w niej namiętność, pocałował wreszcie.

– Pięknie – wyszeptał, przysuwając usta do jej ucha i dotykając piersi. – Czuję, jak się rozpływasz pod wpływem moich pieszczot. – Pocałował ją namiętnie. – A co mam na myśli? Myślę tylko o tym, że chciałbym się z tobą kochać... poznać twoją namiętność, zbadać każdy szczegół twego ciała.

Czuła, jak się roztopia, jak ulatnia się jej silna wola.

– Będziemy się kochać? – Nie było to pytanie, bardziej już prośba czy też zachęta.

Ich oczy się spotkały. Przez chwilę patrzyli na siebie w ciszy.

– Nie – odparł chłodno.

Gwen gwałtownie chwyciła za klamkę i wyskoczyła z wozu, lecz nim udało jej się dobiec do domu, Luke złapał ją mocno za ramię.

– Poczekaj.

– Zostaw mnie! Chcę iść do siebie. Zapomnij. Zachowałam się jak szalona. Nie wiem, o co mi chodziło.

– Ależ wiesz. – Wzmocnił uścisk.

Gwen chciała zaprzeczyć, ale przecież pragnęła Luke'a.

– Tak, wiem. A teraz już mnie puść.

– Nie zamierzam przeproszać za to, że cię dotknąłem.

– Nie oczekuję przeprosin – rzekła spokojnie. – Po prostu mnie puść, skoro sobie tego życzę. – Uświadomiła sobie z przykrością, że wcale nie chciała się uwolnić z jego uścisku, ale od kontroli, którą nad nią sprawował. Ta wewnętrzna walka wyraźnie odmalowała się na twarzy Gwen. Luke jeszcze bardziej zmarszczył czoło, lecz w końcu cofnął dłoń, na co rzekła sucho: –

Dziękuję – i ruszyła w kierunku domu, nim Luke zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Żółty motyl trzepotał skrzydłami nad donicą białych niecierpków. Gwen obserwowała z werandy jego taniec. Odpoczywająca na białym fotelu bujanym Anabelle była tak samo krucha. Gwen widziała delikatne różowe policzki i łagodne niebieskie oczy matki. Choć zajęta łuskaniem grochu, Anabelle jak zwykle z zadumą patrzyła gdzieś w przestrzeń. Gwen przyglądała się jej bezradnie.

Kim ja właściwie jestem? – myślała. Co upoważnia mnie do mądrzenia się na temat mężczyzn? A przecież próbowała ingerować w życie matki... Lecz oto teraz zapragnęła zwrócić się do niej po radę, bo strasznie zaplątała się w swych emocjach. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że jej uczucia wobec Luke'a osiągnęły niebezpieczny poziom. Obdarzenie miłością takiego faceta oznaczało katastrofę, fakt to niezbity, jednak czy umysł jest w stanie zapanować nad sercem? Cóż, musi. Akurat w tym przypadku nie ma innej możliwości. Muszę zapomnieć o ostatniej nocy, nakazała sobie. Mam swoje priorytety.

Spojrzała na Anabelle, która nadal z tajemniczym uśmieszkiem łuskała groch.

– Mamo... – Żadnej reakcji. – Mamo! – Położyła dłoń na jej dłoni.

– Słucham, kochanie. Mówiłaś coś?

Gwen zawahała się na moment, nim spytała:

– Czy nie uważasz, że dwanaście lat to zbyt wielka różnica wieku?

– Hm... pewnie tak... – Anabelle podumała przez chwilę. – Choć myślę, że wraz z upływem czasu traci to znaczenie. – Powagę zastąpił uśmiech. – Wiesz, wydaje mi się, jakbyś jeszcze niedawno miała dwanaście lat. Pamiętam, jakby zdarzyło się to wczoraj, twój upadek z cyprysu. Złamałaś wtedy rękę.

Boże, jaka byłaś dzielna, nawet nie zapłakałaś. Zresztą nigdy nie płakałaś. Za to ja wylałam tyle łez, że wystarczało za nas obie.

– Mamo, nie o tym mówię. Gdy mężczyznę i kobietę dzieli dwanaście lat... Czy to nie nazbyt wiele?

– Między córkami Sally Deumont jest podobna różnica wieku, co niosło z sobą pewne niedogodności.

– Mamo, nie o tym...

– Ale miało też i swoje zalety – dodała Anabelle, nie chcąc, jak to ona, krytykować wieloletniej przyjaciółki.

– Mamo, przecież wiesz, że nie o to mi chodzi. Mówię o mężczyźnie i kobiecie. O związkach. O parach.

– Ach tak! – Anabelle zamrugła, by oprzytomnieć do końca, i uśmiechnęła się. – To zupełnie inna para kaloszy... – Gwen wychodziła ze skóry, widząc, jak matka w ciszy spokojnie sobie łuska groch. – Zaskoczyłaś mnie, stwierdzając, że wiek i miłość mają z sobą cokolwiek wspólnego. Zawsze uważałam, że serce nie liczy lat.

Słowa te nieco ostudziły zapal Gwen. Ujęła matkę za rękę.

– Czy nie uważasz, że czasem miłość zaślepią zdolność oceny tego, co dla ciebie dobre, a co nie? Czyż nie jest tak, że nieraz ludzie stawiają się w sytuacjach, których jedynym skutkiem jest cierpienie?

– Zgadzam się z tobą. Na tym polega życie. Jeśli nie otworzysz się na ból, nigdy nie otworzysz się też na radość. Jak puste byłoby wtedy życie. Czy ten twój Michael bardzo cię skrzywdził?

– Nie. – Puściła dłonie matki i wstała, by przejść się po werandzie. – Właściwie tylko moją dumę.

– Nawet upadek z konia może mieć podobny skutek.

– Anabelle podeszła do córki. – Kochanie, jesteś taka młoda. Często o tym zapominam, bo w przeciwieństwie do mnie jesteś praktyczna i świetnie zorganizowana. Opiekujesz się mną częściej niż ja tobą.

– Nieprawda...

Anabelle przyłożyła jej palec do ust.

– Prawda. Unikam nieprzyjemnych rzeczy i gdy już trochę podrosłaś, przejęłaś je na siebie. W niektórych sferach życia błyskawicznie dojrzałaś, lecz w innych...

– Objęła córkę w pasie. – Może nadeszła w końcu chwila, bym to ja ci w czymś pomogła.

– Ale mam, nie o mnie tu chodzi – zaprotestowała Gwen.

– Wiesz, że gdy poznałam twego ojca, miałam zaledwie osiemnaście lat? Natychmiast się w nim zakochałam. Kto by pomyślał, że tak szybko odejdzie? Nawet nie miał okazji cię zobaczyć. To największa tragedia. Byłby taki dumny, gdyby zobaczył, jak bardzo jesteś do niego podobna. – Westchnęła cicho. – Dla niego i dla mnie to było pierwsze gorące uczucie, młodzieńcza miłość. Często myślę, czy przetrwałaby próbę czasu... Cóż, nigdy się tego nie dowiem. – Zadumała się na moment, Gwen też milczała, zafascynowana wyznaniem matki. Nie znała jej od tej strony. – Tak wiele się nauczyłam w czasie tego krótkiego, lecz jakże gorącego małżeństwa. Ot, choćby to, że zawsze trzeba akceptować miłość. Trzeba ją też dawać, gdy ktoś jej potrzebuje, bo druga szansa może się nie zdarzyć. Wiem również, że dopóki ktoś nie złamie ci serca, nigdy nie poznasz piękna miłości.

Gwen obserwowała czmychającą na drzewo wiewiórkę. Dziwnie było słuchać opowieści matki o miłości. Dla dziecka, choćby już dorosłego, nie jest to taka zwykła sprawa. Mama to mama... A przecież Anabelle była piękną, delikatną kobietą, nie tylko wdową i matką. A przy tym, mimo dojrzałego

wieku, wciąż dziewczęco uroczą, naiwną, delikatną. Gwen niby o tym zawsze wiedziała, lecz zaangażowana w burzliwy związek z Lukiem, tak naprawdę myślała tylko o sobie. Wreszcie jednak postanowiła zadać pytanie, które od lat cisnęło jej się na usta:

– Mamo, dlaczego nie wyszłaś ponownie za mąż?

– Bo nie chciałam. Długo byłam w żałobie, lecz gdy już się otrząsnęłam z rozpaczy i żalu, dotarło do mnie, że świetnie się czuję w roli matki. Wiesz, całkiem nieźle radzę sobie z dziećmi, a już wychowywanie ciebie było najwspanialszą frajdą, jaką mogło ofiarować mi życie. Jednak z czasem robiłaś się coraz bardziej niezależna, więc rozpoczęłam kolejny etap. – Uśmiechnęła się lekko. – Owszem, miałam kilku wielbicieli, czynili mi poważne propozycje, lecz z żadnym z nich nie chciałam wiązać się na stałe. Ot, tyle można o tym powiedzieć, by nie przynudzać i nie skłamać zarazem.

Zapadła cisza. Gwen patrzyła, jak matka spaceruje między kwiatami. Dotarło do niej, że przez ostatnich dwadzieścia lat Anabelle przeżyła kilka romansów, chodziła na randki, przeżywała miłosne uniesienia, a na koniec wahała się, czy przyjąć kolejne oświadczenia, czy też pozostać sama. Nie była jedynie rozmarzoną, łagodną matką, ale i cudowną, pociągającą kobietą, która ma swoją i tylko swoją historię. Gwen przez chwilę poczuła się jak sierota.

Zachowuję się nedorzecznie! – upomniała się natychmiast. Mama była, jest i będzie tą samą osobą. To ja się zmieniłam. Wydoroślałam, zaczęłam samodzielne życie, lecz wciąż myślę o niej tak, jakbym nadal była dzieckiem. Już czas ją uwolnić. Lecz nie mogę pozwolić, by ktokolwiek ją skrzywdził. Luke... on jest największym zagrożeniem. Nie kocha jej. Nie, jeśli całuje mnie w taki sposób. Nie... Zamknęła oczy. Pragnie mnie, ale nie ma to nic wspólnego z sercem. Pragnie, ale się ode mnie odwrócił. Musiał to zrobić dla niej... Boże, jestem zazdrosna o własną matkę! Co tu się wyrabia...

– Nie wyglądasz na szczęśliwą – rzekła Anabelle.

– Nie, to nie tak...

– Zdezorientowana?

– To już bliżej.

– Mężczyźni z łatwością wywołują w nas takie uczucia. Posłuchaj rady matki, choć rzadko ci ich udzielam. Nic nie rób. Wiem, jakie to dla ciebie trudne, ale spróbuj. Pozwól, żeby wszystko samo się jakoś ułożyło. Czasami najwięcej się zdobywa, gdy nic się nie robi, a sprawy toczą się swoim rytmem.

– Mamo... Jak coś tak niemądrego może być tak prawdziwe?

– Luke mówi, że mam świetną intuicję – odrzekła Anabelle z dumą.

– On to umie dobierać słowa – mruknęła Gwen.

– Taką mam pracę – rzekł Luke, wkraczając na werandę. Spojrzał na Gwen. W jego spojrzeniu było coś intymnego, władczego. Na jego ustach czaił się uśmiech.

– Naładowałaś broń, Gwen?

– Nigdy nie chybiam – odparła spokojnie.

– Ojej. Nie mówiliście, że wybieracie się na polowanie. Mam nadzieję, że Tillie zapakowała wam jedzenie.

Pełen uroku, chłopięcy uśmiech Luke'a sprawił, że Gwen mogła jedynie odpowiedzieć tym samym, dzieląc z nim tajemnicę żartu.

– Właściwie to chodziło mi o łowienie ryb – uściślił, przyglądając się Gwen. – Zamierzałem się wybrać do chatki Malona.

– Dobry pomysł. Malon zawsze ma świeże ryby. Ty też idź, Gwen. Malon będzie niepokieszony, jeśli go nie odwiedzisz.

– Cóż... – Widząc rozbawienie na twarzy Luke'a, ciągnęła łagodnie: – Odwiedzę go innym razem. Obiecałam Tillie, że pomogę jej w kuchni.



– Nonsens! – Anabelle ruszyła do drzwi, spoglądając na Luke'a, który je otworzył. – Dziękuję, kochanie.

– Tym razem zerknęła na córkę. – Jesteś na wakacjach. To nie czas na przesiadywanie w kuchni nad garem gotujących się pomidorów. Biegnij i baw się dobrze. Przecież lubisz łowić ryby. Luke, powiedz Malonowi, że będę wdzięczna za świeże krewetki. – Zniknęła za drzwiami.

Gwen uświadomiła sobie, że właśnie została delikatnie popchnięta. Luke rzucił okiem na jej obcisłe niebieskie dżinsy i gładką białą koszulkę.

– Ubranie pasuje. Chodźmy.

– Nigdzie się z tobą nie wybieram. – Próbowwała opuścić werandę, jednak Luke ją powstrzymał. Stali tuż obok siebie. Gwen spojrzała na rękę Luke'a, która blokowała jej drogę, a następnie prosto w jego oczy.

Obrzuciła go najbardziej pogardliwym spojrzeniem, na jakie ją było stać.

– Przepraszam bardzo – rzekła chłodno. Ku jej konsternacji, Luke wybuchnął śmiechem. – Puść mnie, ty... ty...

– Wcześniej nazwałaś mnie świnia – przypomniał, odprowadzając ją korytarzem.

– Jezu, co z ciebie za drań! – Próbowwała mu się wyrwać.

– Dziękuję.

Gwen zapała się, skutecznie zatrzymując Luke'a.

– Jesteś najbardziej aroganckim, nieobliczalnym, egoistycznym, bezdusznym facetem, jakiego znam.

– Zapomniałaś dodać, że jestem nieodpowiedzialny, despotyczny i nieziemsko przystojny. Naprawdę mnie zaskakujesz. Myślałem, że masz większą wyobraźnię. To wszystko, na co cię stać?

– Bez przygotowania, owszem. – Starła się zachować powagę, co było trudne, gdy oczy mu się śmiały. – Daj mi trochę czasu, to będę bardziej elokwentna.

– Nie trudź się. Zrozumiałem. – Puścił jej rękę, a następnie wysunął dłoń na zgodę. – Rozejm?

Gwen, o dziwo, nieco się rozluźniła, choć nadal była podminowana. Uścisnęła mu dłoń.

– Rozejm – zgodziła się z lekką tylko niechęcią w głosie.

– Dopóki...

– Dopóki znów się na ciebie nie wkurzę – odpowiedziała radośnie na jego śmiech. Był to najprzyjemniejszy, najbardziej zaraźliwy dźwięk, jaki w życiu słyszała.

– Zatem idziesz ze mną na ryby?

– Może się przejdę... – Zadumała się na moment, potem z uśmiechem oświadczyła: – Założę się o dziesięć dolców, że złowię większą sztukę.

– Zgoda. – Mimochodem splótł palce z jej palcami. Tym razem nie protestowała.

Gwen знаła każdy zakręt rzeki i wszystkie bagienne ścieżki i tajemne tropy. Podążała na północ w kierunku chatki Malona. Szli w promieniach słońca, wśród porośniętych mchem drzew.

– Naprawdę wiesz, jak robi się przetwory z pomidorów? – zapytał Luke, pochylając się pod niskim konarem.

– Oczywiście. Znam się na wszystkim, co rośnie w ogródku. Kiedy jesteś biedny, nieraz dzięki ogródkowi masz co włożyć do garnka.

– Nigdy dotąd nie spotkałem biednych ludzi jedzących srebrnymi sztućcami – stwierdził sucho.

– To pamiątka rodzinna. – Wzruszyła ramionami. – Dla mamy to świętość. Takich rzeczy się nie sprzedaje, choć to trochę dziwne, gdy podczas obiadu trzyma się w ręku nie widelec, ale świętość. – Zadumała się na moment. – Mama kocha ten dom. To jej królestwo, a ona jest kobietą, która potrzebuje królestwa.

– A ty nie potrzebujesz?

Spłoszona ich widokiem czapla poderwała się do lotu. Przyglądając się jej, Gwen poczuła się jak dawniej, gdy była dzieckiem. Tak dobrze czuła się w lesie, wśród dzikiej, lecz tak dobrze znanej przyrody.

– Zawsze chciałam znaleźć własne królestwo. Pamiątki rodzinne należały kiedyś do kogoś innego... Och, jaśmin... Niemal już zapomniałam, jak pachnie – rzekła cicho, gdy dotarł do niej aromat krzewu. Otaczał ich senny spokój. W wodach strumienia odbijały się pokryte mchem drzewa. Podniosła kamyk i rzuciła nim o taflę wody. – Gdy byłam dzieckiem, spędzałam tu dużo czasu.

Czułam się tu swobodniej niż w domu. Nigdy nie zaznałam tam pełnej prywatności. Zawsze ktoś przyjeżdżał lub odjeżdżał. Nie chciałam dzielić z nikim swojego królestwa, póki... – Poczuła, jak Luke zaciska rękę na jej dłoni. Patrzył na nią z głębokim zrozumieniem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Chatka Malona zbudowana była na palach zanurzonych w wodzie. Ganek był jednocześnie przystanią dla pirogi. Na kawałku trawy nieopodal chatki gdakały kury. Gdzieś na bagnach stukał dzięcioł. Dźwiękom natury towarzyszyła muzyka francuskiego wirtuoza fortepianu. Na wąskiej poręczy rozciągnął się pręgowany kot.

– Nic się nie zmieniło – stwierdziła Gwen z radosną ulgą. Z uśmiechem pociągnęła Luke'a ścieżką, a następnie w górę drewnianych schodów. – Raphaelu! – zawołała do drzemiącego kota, który leniwie otworzył jedno oko, wydał z siebie dźwięk oznaczający brak zainteresowania i znów zasnął. – Jak zawsze serdeczny i nadzwyczaj wylewny wobec gości. Pewnie mnie już nie pamięta.

– Raphael jest za stary, by cokolwiek zapomnieć.

Odwróciła się. Malon stał u wejścia do chatki z tłuczkiem i moździerzem w dłoni. Był niewiele wyższy od Gwen, lecz wprost emanował teżyzną. Miał siwe, grube, kręcone włosy, ogorzałą twarz pełną zmarszczek, jasnoniebieskie oczy skryte pod krzaczastymi brwiami. Jego wiek stanowił tajemnicę, po prostu mieszkał tu od zawsze. Czerpał z wody i lasu wszystko, czego potrzebował, i niczego więcej nie pragnął. Kochał i szanował bagna. Tymi uczuciami zaraził małą Gwen, która odkryła jego chatkę ponad piętnaście lat temu.

Powstrzymała impulsywną chęć, by rzucić mu się na szyję.

– Witaj! Jak leci?

– Raz lepiej, raz gorzej. – Wzruszył lekko ramionami, po czym odstawił narzędzia. Przywitał się zdawkowo z Lukiem, by skupić całą uwagę na Gwen. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, po czym powiedział: – Pokaż ręce.

– Gdy posłusznie wykonała polecenie, prychnął: – Ale delikatne. Ot, dłonie damy. Dlaczego w Nowym Jorku nie postarałaś się też o figurę damy?

– Stać mnie było jedynie na ręce. Na resztę nadal oszczędzam. Jak widzę, Tillie nadal prasuje ci koszule. Kiedy w końcu poprosisz ją o rękę?

– Jestem za młody na małżeństwo. Jeszcze się nie wyszumiałem i mam pstro w głowie.

– Tak bardzo się za tobą stęskniłam – ze śmiechem wyznała Gwen.

Malon również się uśmiechnął i uściśnął ją. Rozmawiali w języku cajuńskim, na który Gwen przeszła automatycznie. Zamknęła oczy, delektując się mocnym uściskiem, bliskością szorstkiego policzka, zapachem ogniska i ziół. Nagle uświadomiła sobie, dlaczego nie przyszła go odwiedzić wcześniej. Był jedynym stałym mężczyzną w jej życiu. Bała się, że mógł się zmienić podczas jej nieobecności.

– Nic się nie zmieniło – wyszeptała.

– Oprócz ciebie – stwierdził z uśmiechem.

– Powinna tu była zajrzeć wcześniej. – Po raz pierwszy, odkąd się poznali, odważyła się pocałować go w policzek.

– Wybaczam ci. Przypomniała sobie o Luke'u.

– Przepraszam. Zapomniałam, że nie znasz cajuńskiego.

Uśmiechnął się, drapiąc Raphaela za uszami.

– Nie musisz przeproszać. Podobało mi się.

Gwen uporządkowała myśli. Już nigdy nie podda się urokowi tego uśmiechu.

– Jeśli znasz francuski, to pewnie nas rozumiesz.

– Nie, ale i tak mi się podoba.

– Aha... – Poczowała się niezręcznie, bo dotarło do niej, że Luke świetnie sobie zdaje sprawę, jak mocno działał na nią jego uśmiech.

– Anabelle prosiła przekazać, że ma ochotę na krewetki – powiedział do Malona.

– Na krewetki wybieram się jutro. Książka dobrze ci idzie?

– Nieźle.

– A teraz, jak widzę, zrobiłeś sobie przerwę, tak? Zabierasz Gwen na ryby?

– Owszem – odparł, nie patrząc na nią, podobnie jak Malon.

– Kiedyś znała się na rzeczy, ale to było, zanim wyjechała... w świat. – Nawet miasto oddalone od Lafitte o pięćdziesiąt kilometrów było dla niego wielce podejrzane.

– Może nie zapomniała. Wygląda na niegłupią kobietę.

– Tak, no i została dobrze wychowana – dodał Malon, nieco łagodząc ton. – Jej ojciec był porządnym facetem. Podobna do niego, jakby skórę zdarła z ojca. W niczym nie przypomina matki.

Gwen wyprostowała ramiona i lekko uniosła brwi.

– Pamiętam wszystko dokładnie – stwierdziła z naciskiem, nawiązując do jakichś dawnych zdarzeń. – Matka już by się wami zajęła!

– A niech cię! – Malon potrząsnął ręką jak poparzony. – Ta miastowa dziewczyna przyprawi mnie o zawał serca. Ty z nią popłyń. Ja jestem za stary, żeby się z nią ścigać.

– Przed chwilą byłeś za młody na ślub – zakpiła Gwen.

– Owszem, i niech tak już zostanie. A druga prawda jest taka, że mam swoje lata i muszę przygotować lekarstwo. Zabierzcie wędkę i pirogę i nie wracajcie bez ryb. – Zniknął za drzwiami chatki.

– Stary cap nic się nie zmienił – stwierdziła Gwen z komicznym oburzeniem.

– Ani trochę. – Luke zarzucił na ramię dwie wędki. – Wciąż za tobą szaleje.

Wsiadając do pirogi, podał Gwen rękę, lecz ona sama wskoczyła do łódki. Raphael bezszelestnie poszedł w ślad za nią i natychmiast zasnął.

– Nie odpuści takiej zabawy – wyjaśniła. Luke odepchnął łódkę, potem spytał:

– Jak ci się udało tak biegle opanować cajuński? Anabelle ledwie czyta menu po francusku.

– Tillie mnie nauczyła. – Odchyliła głowę w stronę słońca. Przypomniało jej się, jak Malon powiedział kiedyś, że jego piroga może sunąć po rosie. – Znam ten dialekt od zawsze. Miejscowi nie tolerują tu obcych. To bardzo zamknięta społeczność, ale jak tylko poznałam ich język, stałam się jedną z nich. Ciekawe natomiast, dlaczego Malon ciebie zaakceptował. Miastowy facet, ani be, ani me po francusku, nie mówiąc już o cajuńskim, a nic przeciwko tobie nie ma.

– Co z tego, że nie znam waszego dialektu. – Sterował łodzią, jakby robił to od zawsze. – Nie rozumiesz? I tak mówimy jednym językiem.

Płynęli w kierunku tajemniczego cyprysowego lasu. Piroga sunęła między unoszącymi się na powierzchni hiacyntami. Małe raki uczepliły się korzeni, gruby wąż zniknął między kwiatami lawendy. Wijąca się rzeka tętniła życiem. Gwen przyglądała się, jak przy brzegu poluje szop.

– Jak to możliwe, że zdobywca Nagrody Pulitzera mówi tym samym językiem co uzdrowiciel z Luizjany?

– Uzdrowiciel?

– Wiejski doktor. Malon czasem łowi ryby, handluje i rąbie drewno, ale przede wszystkim jest uzdrowicielem. Leczy ukąszenia, choroby i zdejmuje uroki. Uroki to zresztą jego specjalność.

– Hm... Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego tu mieszka? Za towarzystwo ma tylko kota, muzykę i książki... – Ona jednak milczała, przyglądając się, jak Luke manewruje między pniakami. – Zwiedził Rzym, Londyn, Budapeszt, lecz na koniec zamieszkał tutaj. Jeździł czołgiem, galopował na końskim grzbiecie, boksował i latał samolotem, a teraz łowi ryby i zdejmuje uroki. Wie, jak naprawić gaźnik, potrafi grać na gitarze i leczyć ukąszenia węży. Robi to, co lubi, i nic poza tym. Ze wszystkich znanych mi facetów odniósł największy sukces.

– Skąd dowiedziałaś się o nim tyle w tak krótkim czasie?

– Po prostu pytałem.

– Nie, to nie jest takie proste. Ludzie opowiadają ci o sobie z kompletnie nieznanymi mi powodów. Sama mówiłam ci o sprawach, które dotąd kryłam w sobie, zanim w ogóle zdałam sobie z tego sprawę. – Przyjrzała się jego twarzy.

– Co gorsza, czasem niczego nie trzeba ci mówić. Potrafisz przejrzeć człowieka na wylot.

– Czy fakt, że wiem, kim jesteś, wprawia cię w zakłopotanie? – spytał z uśmiechem.

Gwen zmarszczyła czoło. Już nie była zła, tylko zadumana.

– I owszem... Czuję się przez to bezbronna, podobnie jak wtedy, gdy ujrzałam szkice Bradleya.

– Naruszenie prywatności?

– Bardzo ją sobie cenię.

– Rozumiem. Dorastałaś, dzieląc dom nie tylko z Anabelle, ale i z obcymi ludźmi, dlatego pragniesz prywatności i niezależności. Przepraszam, że ją naruszyłem, ale to zawodowy nawyk.

– Czy wszyscy jesteśmy dla ciebie jedynie potencjalnymi bohaterami książek? – spytała, nakładając przynętę.



- Niektórzy owszem – odparł cicho, zarzucając wędkę po drugiej stronie.  
Gwen pokręciła głową.
- Cóż, coraz trudniej mi ciebie nie lubić.
- Jestem niezwykle uroczy.
- Niestety to prawda... – Zamknęła oczy. – Jesteś zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam.
- Naprawdę?
- Bardziej wyglądasz na drwala niż znanego pisarza. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.
- A jak według ciebie powinien wyglądać znany pisarz?
- Inaczej... Wiesz, taki intelektualista, wąskie ramiona, okulary w cienkich oprawkach, i ta modulacja głosu... Albo inaczej, garnitur...
- Co to to nie!
- A tak, garnitur, koniecznie dopasowany, szyty na miarę, nieco wystający brzusek, włosy w wymodelowanym, lekkim nieładzie, ledwie widoczna blizna na brodzie, ślad młodzieńczych szaleństw. A jeszcze inny intelektualista to późny wnuk Byrona...
- Niech Bóg broni!
- Romantyczny, blady, ze smutnymi oczami. Wiesz, tragiczna tajemnica...
- Jak mam być bajronicznym, wyblakłym typkiem, skoro w Kalifornii takie słońce?
- W ogóle nie pasujesz na intelektualistę, bo za bardzo rzuca się w oczy twoja... nazwijmy to, fizyczność. No, taka sprzeczność. O czym teraz piszesz?
- O mężczyźnie i kobiecie.
- Wielce odkrywczе – zakpiła. – Dołożysz do tematu milion i pierwszą miłość?

Roześmiał się.

– „Wszystko już było”, powiedział rabin Ben Akiba, a zdarzyło się to dawno temu, i miał rację. Opisano już wszystko, skarbie, tylko każdy wierzy, że przeżywa coś po raz pierwszy.

– Ciekawe...

– Napisano wiele symfonii, lecz wszystkie opierają się na tych samych nutach. Te same słowa układano setki, tysiące razy. Te same uczucia wyrażano w wierszach, obrazach, muzyce...

Przymknął oczy, dzięki czemu Gwen mogła mu się spokojnie przyjrzeć.

– Dasz mi przeczytać? – spytała. – A może należysz do tych kapryśnych artystów, do tych neurotyków i nadwrażliwców?

– Bywam kapryśny jedynie wtedy, gdy działa to na moją korzyść – odparł leniwie, otwierając jedno oko.

– A jak twoja ortografia?

– Różnie z tym bywa. – Gdy roześmiała się, dodał: – Możesz sprawdzić wersję roboczą powieści i poprawić byki.

– Co za łaskawość... O, złapałam! – Zerwała się na nogi, koncentrując się na wędze. Jej ruchy zdradzały wprawę, spojrzenie rzucało wyzwanie. – Spokojnie ze cztery kilo – stwierdziła, wyciągając z wody rybę. – A to dopiero rozgrzewka. – Raphael podniósł się na moment, by przyjrzeć się pierwszej zdobyczy.

Wokół panowała cisza. Nie było sensu prowadzić rozmowy o niczym. Wokół latały motyle, rozlegał się śpiew ptaków. Gwen i Luke leżeli na łodzi, cienie robiły się coraz dłuższe.

– Za kilka godzin zajdzie słońce – zauważył Luke.

– Powinniśmy się już zbierać.

Przyglądała się mu spod półprzymkniętych powiek. Przeciągał się. Miał naprężone mięśnie, jasne, intensywne spojrzenie kontrastujące z ciemnym odcieniem skóry. Miał świadomość, że go obserwuje.

– Jesteś mi winny dziesięć dolców – przypomniała z uśmiechem.

– Niewysoka cena za tak piękne popołudnie. Wiesz, że masz pięć jasnych piegów na nosie?

– Luke, ty masz nierówno pod sufitem!

Przyglądał się cieniom rzucanym przez rzęsy i jej słodkiemu uśmiechowi.

– Powoli to do mnie dociera – mruknął. Poruszyła się, dopiero gdy łódź dobiła do brzegu.

Chmury różowiły się w świetle zachodzącego słońca, w powietrzu panował spokój.

– Hm... Cóż za wspaniała wycieczka – oznajmiła szczerze.

– Następnym razem ty wiosłujesz – zapowiedział Luke, odprowadzając wzrokiem Raphaela, po czym przymocował łódź do brzegu i podał Gwen rękę.

– Cóż, wszystko, co dobre...

Wstała, posyłając Luke'owi nonszalancki uśmiech, i poczuła na swych ustach jego usta. Jedną ręką gładził jej włosy, drugą przyciągał Gwen bliżej. Cały był napięty, gotowy zademonstrować swoją siłę. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe. Gdyby tak pozwoliła, żeby uwolnił swoją moc, swoje pożądanie... I sama pragnęła uwolnić się spod kontroli rozumu, oddać się całej dzikiej namiętności... oddać się Luke'owi.

– Gwen... – szepnął, nie kryjąc buzującej w nim żądzy, lecz zarazem nieco odepchnął ją od siebie.

– Cicho... – Złożyła na jego ustach pocałunek.

Jednak Luke gwałtownie odsunął się od niej, choć nadal trzymał ją za ramiona. Patrzył Gwen prosto w oczy. Na jej twarzy rysowały się zmieszanie, pragnienie, gotowość.

– Nie powinnaś tak patrzeć na faceta. – Odwrócił się od niej.

– Nie rozumiem...

– Byłaś taka uległa. – Omiótł spojrzeniem spokojną rzekę, wreszcie spojrzął na Gwen. – Uległa, gotowa i szokująco niewinna. Zdajesz sobie sprawę, jak ciężko jest się oprzeć niewinności?

– Nie, ja... – Pokręciła bezradnie głową.

– Pewnie, że nie – uciał ostro. – Wielkie nieba, jak łatwo zapomnieć, że jesteś taka młoda!

– Wcale nie – zaprotestowała. – To stało się tak szybko. Nie wiedziałam, co się dzieje. Po prostu...

– To częściowo moja wina, Gwen. Jesteś wyjątkowa. Kompletnie nieprzewidywalna, raz wojownicza, raz kusząca, uległa. Trudno mi utrzymać ręce przy sobie. Świadomość, że mógłbym cię zdobyć bez trudu, wcale mnie nie zniechęca.

Patrzyła na niego przez chwilę, i nagle coś do niej dotarło. Jakby przejrzała Luke'a na wylot, przebiła się przez wszystkie jego skorupy.

– Boże, skąd w tobie tyle niechęci, pogardy... nienawiści?!

– To prawda... Jednak jestem na tyle cywilizowany, by nie wykorzystać niewinnej dziewczyny.

– Nie jestem... Nie jestem niewinną dziewczyną, tylko dorosłą kobietą!

– Jak wolisz. Nadal chcesz, bym cię wykorzystał?

– Nie! To znaczy, to nie byłoby... Nie!

– W takim razie... – Ujął ją za rękę i zaprowadził do chatki Malona.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pukanie do drzwi Luke'a nie należało do najłatwiejszych zadań, lecz Gwen musiała to zrobić. Musiała sobie udowodnić, że nie podda się nowo odkrytej słabości. Jest dorosła. Świetnie sobie radzi. Chciała przeczytać rękopis powieści, zobowiązała się, że poprawi ortografię. Nie wycofa się z powodu namiętnego pocałunku czy chwili szaleństwa.

– Proszę.

To proste słowo chwyciło ją za gardło, zdołała jednak się uspokoić i otworzyła drzwi. Luke nawet na nią nie spojrzał.

Wszędzie wały się książki i papiery. Na stole stała wśród nieładu poobijana maszyna do pisania, nad którą pochylał się sprawca całego zamieszania. Okna zakrywały zasłony, łóżko było niezasłane.

– Ale bałagan – mruknęła.

Poirytowany Luke wreszcie uniósł głowę, lecz gdy ujrzał Gwen, uśmiechnął się.

– Cześć. – Nie wstał, tylko wychylił się na krześle i zaczął się jej przyglądać.

Podeszła bliżej, manewrując pośród nieładu.

– To niewiarygodne. – Omiotła gestem pokój. – Jak możesz tak mieszkać?

Rozejrzał się wokół, wzruszył ramionami.

– Ja tak pracuję, a nie mieszkam. Jeśli przysłaś posprzątać, powiem ci to samo, co dziewczynie, którą przysłała raz Anabelle. Spróbuj dotknąć moich papierów, a wylecisz przez okno.

– Więc jednak jesteś kapryśny. – Akurat z tym potrafi sobie poradzić.

– Skoro tak mówisz... Ale pomyśl tylko, dzięki temu, jeśli coś zgubię, mogę winić tylko siebie. Czym mogę służyć? Niestety kawa już wystygła.

Oficjalnym tonem dawał jasno do zrozumienia, że Gwen wkroczyła na obce sobie terytorium, do królestwa Jego Wysokości Luke'a Powersa.

Stłumiła uśmieszek.

– Mówiłeś wczoraj, że mogłabym rzucić okiem na twój rękopis. Chętnie to zrobię, oczywiście jeśli go znajdziesz. – Demonstracyjnie rozejrzała się wokół.

Posłał jej swój słynny czarujący uśmiech.

– Jesteś dobrze zorganizowana, tak? Podziwiam tę cechę u innych, o ile nie koliduje z moimi przyzwyczajeniami. Usiądź, proszę.

Gwen nadepnęła na słowniki i encyklopedię.

– Pozwolisz, że najpierw odsłonię okno?

– Nie ma sprawy. – Sięgnął po plik kartek. – Tylko nie próbuj sprzątać.

– Daleko mi do tego. – Zauważyła, jak wzdrygnął się na widok pięknych promieni słońca wpadających do pokoju. – Nie lepiej tak?

– Siadaj.

– Sie robi, szefie. – Najpierw musiała zdjąć plik gazet z krzesła.

– Z upiętymi włosami wyglądasz starzej. Na oko jakieś szesnaście lat.

W jej oczach zapłonęły ogniki, lecz udało jej się utrzymać chłodny ton.

– Mogę już zacząć?

– Bardzo proszę. – Podał jej zapisane kartki. – Gdzieś tu jest ołówek i słownik. Rób, co chcesz, tylko nie komentuj.

Zamierzała coś odpowiedzieć, lecz Luke wrócił do pisania. Znalazła ołówek i skupiła się na pierwszej stronie. Niechętnie przyznała, że pomysł jej się spodobał. Pragnęła to zrobić, bo dzięki temu mogła coś dzielić z Lukiem.

Odpędzając tę myśl, przybrała maskę obiektywnego profesjonalizmu... i szybko zapomniała o ołówku, pochłonięta czytaniem.

Czas płynął. Gwen nie słyszała już stukania maszyny. W świetle zachodzącego słońca latały ćmy, lecz nie zwracała na nie uwagi. Dla niej żywe były postaci z powieści Luke'a. Zdało się jej, że zna tych ludzi. Nie wiedziała nawet, że jej oczy zwilgotniały. Czuła się jak kobieta w powieści. Zakochana, zmieszana, dumna, bezbronna. Nagle uniosła głowę.

Luke przyglądał się jej. Odpowiedziała na jego spojrzenie. Z jej oczu spływały łzy. Przestraszyła ją ta oznaka słabości. Otworzyła usta, lecz nic nie powiedziała. Pokręciła głową, lecz Luke nawet się nie poruszył. Wiedząc, że jedyną obroną jest ucieczka, wstała i wyszła z pokoju.

Udała się w kierunku bagien. Gdy dotarła do chatki Malona, była już spokojna. Niedobrze, gdyby ujrzał, jak brakuje jej tchu w piersiach.

Malon właśnie wysiadał z łodzi. Powstrzymała pokusę powrotu do domu.

– Udany połów? – spytała.

– Całkiem niezły – odparł z typową dla siebie powściągliwością. – Wpadłaś na kolację?

– Kolację? Już tak późno?

– Zgłodniałem, więc pora odpowiednia. Ugotujemy krewetki. Weźmiesz trochę dla mamy. Wciąż umiesz zrobić kawę?

– Jasne! Tylko nic nie mów Tillie.

Niebawem chatkę wypełnił ostry zapach krewetek i cichej muzyki Chopina. Raphael wygrzewał się na parapecie, mając za nic ludzkie sprawy. Gwen była spięta. Zdziwiona własnym apetytem, uświadomiła sobie, że nic nie jadła od śniadania.

– Wciąż ci smakuje moja kuchnia, co? – Zadowolony Malon nałożył jej dokładkę.

– Po prostu nie chcę skrzywdzić twoich uczuć.

– No jasne. – Przyglądał się, jak Gwen pochłania dodatkową porcję.

– Już dawno naraz tyle nie zjadłam.

– Dlatego jesteś taka chuda – odchylił się na krześle i zapalił francuskiego papierosa.

Pamiętała ten smak i zapach. Miała dwanaście lat, gdy namówił Malona, by dał jej spróbować. Natychmiast zrobiło się jej niedobrze, lecz nie okazał współczucia, o nie. Po prostu patrzył kpiąco. Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Teraz czujesz się lepiej – stwierdził.

Gwen spojrzała na niego, wiedząc, o czym mówił. Nie o tym, że zaspokoila głód. Uniosła ramiona, odetchnęła głęboko.

– Trochę. Musiałam przyjść. Pomogło. Trudno mi zrozumieć samą siebie. No wiesz... chodzi o tego faceta.

– Zawsze o kogoś chodzi. – Wypuścił kilka kółek z dymu. – W końcu jesteś kobietą.

– Owszem, ale niezbyt mądrą. Niewiele o nim wiem. Nigdy wcześniej nikogo takiego nie spotkałam. Problem polega na tym... – Z cichym westchnieniem podeszła do okna. – Wygląda na to, że się zaangażowałam... za bardzo... a nie mogę sobie na to pozwolić.

– Pozwolić sobie! – prychnął. – Co masz na myśli? Emocje nic cię nie kosztują.

– Tak uważasz? – Spojrzała na niego ze smutkiem.

– Czasami kosztują krocie. Czuję, że coraz bardziej go potrzebuję, coraz bardziej jestem do niego przywiązana. A to do niczego nie prowadzi.

– Dlaczego?

– Bo potrzebuję miłości.



– Każdy jej potrzebuje.

– Ale on mnie nie kocha... a ja nie potrafię przestać o nim myśleć. Zapominam przy nim o całym świecie. To niewłaściwe, on kocha inną i... Ach, to takie skomplikowane.

– Życie nigdy nie jest proste, dziewczyno, ale jakoś damy sobie z nim radę. – Pogłaskał ją po policzku.

– Komplikacje dodają życiu pikanterii.

– W tej chwili – uśmiechnęła się smętnie – wolałabym, by moje życie było mdłe.

– Przyszłaś po radę czy współczucie?

– Przyszłam spędzić z tobą czas – odparła miękko – bo jesteś jedynym ojcem, jakiego miałam. – Położyła mu głowę na ramieniu, a on pogłaskał ją po włosach.

– Nie chcę się w nim zakochać.

– Przyszłaś więc do mnie po odtrutkę na miłość? Po takie czary–mary?

– Nie! – odparła ze śmiechem.

– To dobrze, bo bardzo go lubię. Źle bym się czuł, gdybym musiał rzucić na niego urok.

Oczywiście doskonale wiedział, o kogo chodzi. Była tu z Lukiem, poza tym zawsze była dla Malona przejrzysta jak szyba. Mimo to od lat dobrze się czuła w jego towarzystwie. Tyle dobrego jej dał... I nagle uświadomiła sobie, jak niewiele o nim wie. A Malon z bagien nie zawsze był Malonem z bagien.

– Nie mówiłeś mi, że byłeś w Budapeszcie.

– Bo nie pytałaś.

– A jeśli teraz spytam, opowiesz mi? – Jej oczy rozbłyły z ciekawości.

– Tak, gdy będziesz zmywać naczynia.

– Brakuje w tobie życia – narzekał, poprawiając czapkę.

Gwen zabrakło energii po niespokojnej nocy. Zgodnie z poleceniem Bradleya siedziała na dwóch konarach starego dębu. Miała na sobie sukienkę i delikatny makijaż. Za ucho wsunęła magnolię i rozpuściła włosy. Ogromne oczy o intensywnym kolorze zdominowały obraz. Nie odbijały jednak światła w taki sposób, jak Bradley sobie to wymarzył. Jej ciało ukazywało apatię, usta zniekształcał grymas.

– Gwen – rzucił niecierpliwie – nie chodzi nam tu o depresję.

– Przepraszam. – Posłała mu znużony uśmiech. – Kiepsko dziś spałam.

– Ciepłe mleko – poradziła Monica Wilkins, która pedantycznie malowała kępę astrów. – Zawsze mi pomaga.

Gwen na samą myśl chciała zmarszczyć nos, lecz zamiast tego odparła uprzejmie:

– Następnym razem.

– Tylko nie podgrzej za mocno.

– Dobrze – zapewniła z powagą.

– Skoro już wszystko uzgodniłyście... – stwierdził Bradley głosem cierpiętника.

– Przepraszam – sumitowała się rozbawiona Gwen. – Obawiam się, że jestem fatalną modelką.

– Nonsens. Musisz się tylko rozluźnić.

– Wino – rzekła Monica, wpatrując się w astry.

– Słucham? – Bradley odwrócił się i zmarszczył brwi.

– Wino. Kieliszek ją rozluźni. A dwa dokonają cudu.

– O ile mamy jakieś wino.

– Ja mam – stwierdziła Monica cienkim głosem.

– Co masz?

Gwen skupiła się z powrotem na Bradleyu. Zaczynam się czuć jak na meczu tenisa, pomyślała, dotykając szyi.

– Wino. Mam w torbie białe wino. Doskonale schłodzone.

– Jakaś ty sprytna – rzekł Bradley z podziwem.

– Dziękuję. – Zaczerwieniła się. – Ty też możesz się napić, jeśli ma ci pomóc.

– Monico, jestem twoim dłużnikiem. – Skłonił się z galanterią nad butelką wina.

Zachichotała i wróciła do swoich astrów.

– Naprawdę nie uważam, by to było konieczne – stwierdziła Gwen.

– Kilka kropel na poprawę humoru. – Otworzył butelkę i rozlał do plastikowych kubków jasnozłoty płyn.

– Ale ja prawie w ogóle nie piję!

– To świetnie. – Podał jej kubek. – Alkohol źle wpływa na zdrowie.

– Jest dopiero dziesiąta.

– Pij, niedługo skończy się dobre światło.

– A niech mnie – skapitulowała i pociągnęła łyk wina. – Czyste szaleństwo...

– Co takiego? – spytała Monica.

– Mówiłam właśnie, że wino jest doskonałe. Dziękuję.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

Gdy wymieniały uśmiechy, Bradley ponownie napełnił kubki.

– Do dna – nakazał jak ojciec podający dziecku syrop. – Nie chcemy stracić takiego światła.

Gwen posłusznie wykonała polecenie. W głowie poczuła przyjemną lekkość.

– Ciepło się zrobiło. – Uśmiechnęła się sama do siebie.

– Mam nadzieję, że nie przesadziliśmy – mruknął.

– Nigdy nie wiadomo, jak ktoś zareaguje na alkohol – stwierdziła Monica. Bradley wrócił do malowania.

– Popatrz w tę stronę – nakazał. – Pamiętaj, że zależy mi na kontraście. Masz delikatne, subtelne rysy, masz bardzo kobiecą, lecz nie wyzywającą budowę, to słodkie i miłe. Muszę jednak ujrzeć w twojej twarzy charakter. Chcę zobaczyć twoją niepokorną duszę. Chcę zobaczyć w twoich oczach wyzwanie. Wyzwanie rzucone komuś, kto chce cię dotknąć.

– Dotknąć – powtórzyła w zadumie. – Nie jestem już dzieckiem. – Wyprostowała ramiona.

– Nie, nie jesteś... – Patrzył na nią intensywnie.

– O tak! Fantastycznie! – Chwycił pędzel. Spoglądając za ramię, ujrzał nadchodzącego Luke'a, lecz natychmiast wrócił do pracy. – Idealnie! Trochę kapryśna, trochę nadąsana, rozmarzona... i zła! Nic nie zmieniaj. Monico, jesteś wielka!

Bradley pracował w zapale, nieświadomy faktu, że to nie wino tak zadziało na modelkę, lecz mężczyzna za jego plecami. Obecność Luke'a sprawiła, że policzki Gwen nabrały rumieńców, w oczach pojawiło się wyzwanie, usta stały się miękkie, kapryśne i kuszące.

Tymczasem on nie zdradzał żadnych emocji, może tylko czujność, gdy w milczeniu przyglądał się pracy artysty.

Umysłem Gwen zawładnęły tysiące myśli i uczuć. Pragnienie walczyło z dumą. Luke doprowadzał ją do szału, czarował, śmiał się, odrzucał. Nigdy się w nim nie zakocham, nakazała sobie. Nie pozwolę na to. Nigdy więcej nie zrobi już ze mnie idiotki.

– Cudownie – mruknął Bradley.

– Zgadzam się. – Luke wsunął ręce do kieszeni. – Wychwyciłeś to, co w niej najprawdziwsze.

– To rzadkość. Jej wygląd to tylko dodatek. Najważniejsza jest aura niewinności, spod której rozbłyskują płomienie. Niesamowite połączenie. Każdy mężczyzna będzie jej pragnął, gdy ujrzy ten portret.

– Tak, wyobrażam sobie – rzucił nagle zirytowany Luke.

– Nazwę go „Dziewica kusicielka”. Pasuje, prawda?

– Cóż...

Uznając to za wyraz zgody, Bradley znów zaczął coś mrużyć pod nosem, aż nagle rzucił pędzel i spojrzał na Gwen:

– Świetnie ci poszło, ale już kończy się dobre światło. Musimy zaczynać wcześniej. Czekają nas jeszcze trzy sesje.

– Wrócę z tobą do domu. – Monica się podniosła.

– Prawie skończyłam. – Zebrała farby, sztalugi, stołek i podążyła za Bradleyem.

Gwen podniosła się z konarów dębu. Dotknąwszy nagimi stopami trawy, poczuła, że kręci jej się w głowie. Oparła się o drzewo. Luke uniósł znacząco brwi. Z nadmierną uwagą wyprostowała się, pozbyła się dziwnej suchości w gardle i ruszyła przed siebie. Zamierzała przejść koło Luke'a z zimną powagą, lecz ją zatrzymał.

– Wszystko w porządku?

Wino szumiało jej w głowie.

– Oczywiście. Nic mi nie jest.

Uniósł jej brodę, przyjrzał się jej twarzy i łypnął wesoło okiem.

– Moja droga, jesteś wstawiona.

To jeszcze bardziej ją usztywniło.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Bądź tak uprzejmy i mnie puść.

– Oczywiście, tylko nie miej mi za złe, jak upadniesz.

Kiedy ją puścił, zachwiała się niebezpiecznie i złapała się go kurczowo.

– Przepraszam – rzekła z godnością, uczepona jego koszuli. Zmarszczyła brwi. – Czekam, aż przestaniesz się kręcić.

– Och, przepraszam. Mogę zapytać, jakim cudem znalazłaś się w takim stanie?

– W stanie rozluźnienia – sprecyzowała.

– Słucham?

– Tylko się rozluźniłam. Wypiłam wino... a może ciepłe mleko. Monica się na tym zna. Nie przepadam za ciepłym mlekiem, a żadnego akurat nie było pod ręką.

– Fakt, do kuchni kawałek drogi. – Objął ją w pasie.

– Wypiłam tylko troszeczkę.

– To wystarczyło.

– Ojej! – Zatrzymała się gwałtownie. – Nadepnęłam na pszczołę. Biedactwo odleci i zaraz umrze. – Uniosła stopę, by przyjrzeć się śladowi po pszczelim ataku.

– Widzę, że upiłaś się na wesoło. Boli? – zapytał, wyciągając żądló.

– Nie, nic nie czuję.

– Trudno się dziwić. Lepiej powiedziec Bradleyowi, że nie powinien cię aż tak bardzo rozluźniać z samego rana.

– Bardzo poważnie traktuje swoją pracę. Twierdzi, że zrobię się nieprzyzwoita.

– To całkiem możliwe, jeśli będziesz się tak relaksować przed południem. Raczej jednak chodziło mu o to, że staniesz się nieprzyzwoicie popularna.

– Też tak uważasz? Myślę, że Bradley i Monica to makadamia.

– Co takiego?

– Makadamia, orzech składający się z dwóch połówek. – Położyła się na trawie, przymknęła oczy. – Byłoby fajnie, gdyby te dwie połówki się połączyły, gdyby się w sobie zakochali, nie uważasz?

– Cudownie.

– Jesteś cyniczny, bo nie raz byłeś już zakochany.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

– Z twoich książek. Wiesz, o czym myślą kobiety, co czują. Wczoraj czułam ból, bo powieść była taka prawdziwa, taka osobista. Pewnie kochałeś się już z dziesiątką kobiet.

– Miłość do kobiety i kochanie się z kobietą to dwie różne sprawy.

Gwen otworzyła oczy.

– Czasem tak. Dla niektórych.

– Jesteś romantyczką. – Wzruszył ramionami. – Tylko romantyczna dusza lubi białe stroje, rzuca kwiaty ku gwiazdom i wierzy w magię.

– To dziwne... – Znów zamknęła oczy. – Nigdy nie myślałam, że jestem romantyczką. Czy to coś złego?

– Nie – odparł z lekkim poirytowaniem, po czym wstał i bacznie się jej przyjrzał. Włosy rozświetlały złote promienie. Sukienka przesunęła się na piersiach, tworząc zapraszający cień. Klnąc pod nosem, nachylił się i chwycił ją w ramiona.

Ruszyli w stronę domu.

– Jakiś ty silny. – Odchyliła głowę, którą Luke podparł ramieniem. – Zauważyłam już pierwszego dnia, gdy rąbałeś drewno. Michael podnosi ciężary.

– Życzę mu powodzenia.

– A nie, nadwyrężył sobie plecy. – Z chichotem wsunęła się głębiej w jego ramiona. – Michael nie jest szczególnie wysportowany. Gra w brydża. – Zaśmiała się radośnie. – Ja jestem kiepską brydżystką. Michael mówi, że mój umysł potrzebuje dyscypliny.

– Muszę kiedyś poznać tego kolesia.

– Ma pięćdziesiąt siedem krawatów!

– Wyobrażam sobie.

– A buty zawsze wypolerowane na połysk. – Dotknęła podbródka Luke'a.

– Muszę bardziej o sobie dbać. Michael wciąż mówi, jak ważny jest wygląd zewnętrzny. Karmienie gołębi źle wpływa na korporacyjny wizerunek.

– A co wpływa dobrze?

– Opera, a już szczególnie opera niemiecka, Wagner, rozumiesz. Tyle że mi się przysnęło. Wolę oglądać telewizyjne kryminały.

– Ignorantka! – rzucił z uśmiechem.

– I to jaka! – zgodziła się radośnie. Tak fajnie nie czuła się od dawna. – Masz bardziej pociągłą twarz niż on. Poza tym Michael nigdy nie zapomina o goleniu.

– To fantastycznie – mruknął, wkraczając na ganek.

– Nigdy nie czułam się przy nim tak jak przy tobie. – Na te słowa Luke zatrzymał się i spojrzał jej głęboko w oczy. Rozluźniona winem, odpowiedziała łagodnym uśmiechem. – Jak myślisz, z czego to wynika?

– Nie przebierasz w słowach – odparł sucho.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Pewnie masz rację. Podoba ci się to?

Przyciągnął Gwen do siebie. Zamknęła oczy, czekając na pocałunek. Gdy dotknął ustami jej czoła, westchnęła.

– Czasami bywasz miły.



– Naprawdę? – Spojrzał na nią z góry. – Powiedzmy, że zdarza mi się pamiętać kilka podstawowych zasad. W tej chwili moja pamięć działa niezwykle sprawnie.

– Naprawdę miły. – Pocałowała plamkę na jego szyi. Ziewnąwszy, wsparła się na nim wygodnie. – Ale się w tobie nie zakocham.

Luke przyglądał się jej twarzy otoczonej aureolą loków.

– Mądra decyzja – odparł łagodnie i wniósł ją do domu.

RS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy się obudziła, było już ciemno. Zdezorientowana zaczęła się przyglądać niewyraźnym kształtom mebli i srebrnemu światłu księżyca. Obudziło ją pukanie. Podniosła się, zgarniając włosy z twarzy. Zakręciło się jej w głowie. Zajęczała cicho i ruszyła do drzwi. W korytarzu paliło się światło. Zasłoniła oczy ręką.

– Kochanie, przepraszam, że cię obudziłam – powiedziała ze współczuciem Anabelle. – Znam takie bóle głowy.

– Bóle głowy? – Gwen ostrożnie otworzyła oczy.

– Tak, Luke wszystko mi opowiedział. Wzięłaś aspirynę?

– Aspirynę? A tak, aspiryna, takie panaceum.

Anabelle uśmiechnęła się.

– Lepiej się czujesz?

– Wcale nie boli mnie głowa – oznajmiła Gwen.

– To cudownie, bo musisz odebrać telefon. – Matka uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Dzwoni Michael, dlatego cię obudziłam. Ma piękny głos.

– Michael – powtórzyła cicho Gwen. Dlaczego nie może pobyć sobie w tym ciemnym, przyjaznym pokoju? Michael... Na to imię poczuła jedynie znużenie. Zauważyła, że nadal miała na sobie białą sukienkę. Pamiętała dokładnie rozmowę z Lukiem, a co gorsza, dotyk jego ramion, gdy ją niósł.

– Nie powinnaś mu kazać tyle na siebie czekać, kochanie – delikatnie przerwała jej rozmyślenia Anabelle. – Dzwoni z daleka.

– Oczywiście, masz rację. – Podążyła za matką.

– Powiem Tillie, by odgrzała ci kolację. – Anabelle wycofała się taktownie, zostawiając Gwen sam na sam ze słuchawką.

Odetchnęła głęboko i odebrała telefon.

– Witaj, Michael.

– Gwen, już myślałem, że nie odbierzesz – powiedział przenikliwym, lekko poirytowanym głosem.

– Przepraszam – odparła machinalnie, przeklinając się w duchu, że w ogóle to powiedziała. Dlaczego zawsze mnie tak onieśmiela? – Byłam zajęta – oznajmiła z wielką pewnością siebie. – Nie spodziewałam się twojego telefonu.

– Mam nadzieję, że zrobiłem ci miłą niespodziankę.

– Ton jego głosu dobitnie świadczył, iż był tego absolutnie pewien. – Też byłem zajęty. Po uszy zakopany w sprawie korporacji Delron. Skomplikowana historia. Siedziałem dosłownie przykuty do biurka.

– Przykro mi to słyszeć. – Ujrzała Luke'a, który schodził po schodach. Cudownie, pomyślała. Udała, że go nie widzi, lecz gdy zatrzymał się i oparł o poręcz schodów, zmarszczyła brwi. – Mogę prosić o odrobinę prywatności? – szepnęła ostro w jego stronę.

– Oczywiście. – Nawet nie ruszył się z miejsca. – Pozdrów go ode mnie.

– Nie przeginaj! – Oczy zwęziły jej się z wściekłości. Spojrzała groźnie.

– Co takiego? – spytał zdumiony Michael. – Co mówiłaś?

– Nic.

– Do diabła, Gwen, właśnie opowiadałem ci o sprawie. Nie musisz się od razu denerwować.

– Nie denerwuję się. Dlaczego dzwonisz?

– Żeby zapytać, kiedy wracasz, kochanie. Tęsknię za tobą – powiedział z czułością, a zarazem z żądaniem.

Gwen westchnęła. Zamknęła oczy, oparła słuchawkę na czole.

– Zawsze czujesz się przez niego winna? – zapytał Luke swobodnym tonem.

– Spadaj stąd! – Była wściekła i na jego wścibstwo, i na to, że przejrzał ją z taką łatwością.

– Co takiego? – krzyknął ze złością Michael.

Od natężenia jego głosu niemal pękła membrana w słuchawce, co bardzo rozbawiła Luke'a.

– Nic, nic...

– Co się dzieje na linii? Połączenie szwankuje?

– Najwyraźniej – mruknęła Gwen, po czym zebrała się w sobie. – Michael, ja...

– Myślę, że dałem ci wystarczająco dużo czasu, byś się uspokoiła – oznajmił z nieznośnie protekcyjną uprzejmością.

– Uspokoiła?

– Głupio, że się tak pokłóciliśmy. Wiem oczywiście, że nie miałaś na myśli tego wszystkiego, co mi powiedziałaś. No, tych wszystkich okropności.

– Nie?

– Często rzucasz słowa bez zastanowienia, gdy jesteś w kiepskim nastroju – przypomniał jej cierpliwym, wielkodusznym tonem. – Oczywiście i ja w pewnej części zawiniłem, przyznaję.

– Naprawdę? – Za wszelką cenę starała się mówić cicho i rozsądnie. – Jak możesz ponosić winę, choćby i tylko częściową, za mój nastrój? – Zauważyła, że Luke nadal się jej przygląda.

– Cóż, sam cię do tego sprowokowałem. Nie byłaś jeszcze gotowa na oświadczyzny, zbyt się pośpieszyłem. Cóż...

– Michael, spotykaliśmy się prawie od roku.

– To prawda, skarbie – odparł łagodnie. – Lecz powinienem był cię do tego przygotować.

– Przygotować? Nie chcę się do niczego przygotowywać. Rozumiesz? Chcę być zaskakiwana. I jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie skarbem tym swoim protekcyjnym tonem, zacznę krzyczeć! Już krzyczę, nie słyszysz? Krzyczę, krzyczę, krzyczę! – Wreszcie postanowiła dać mu do wiwatu.

– Gwen, nie denerwuj się. Jestem gotowy wszystko ci wybaczyć i zapomnieć.

– Wybaczyć? – Zaniósła się śmiechem. Naprawdę ją rozbawił. – Własnym uszom nie wierzę. Naprawdę potrafisz być wspaniałomyślny. Nie wiem, co powiedzieć.

Zignorował albo, co gorsza, w swym egocentryzmie nie wychwycił drwiny w jej głosie.

– Powiedz po prostu, kiedy wrócisz, skarbie. Uczymy zareczyny kolacją i ustalimy datę. U Tiffany'ego są bardzo ładne obrączki. Sama wybierzesz.

Policzyła do dziesięciu, nim powiedziała:

– Michael, wysłuchaj mnie. Po prostu to zrób, dobrze? Obiecuj...

– Przecież cię słucham, skarbie.

– I tak trzymaj przez najbliższą minutę. Tym razem naprawdę mnie posłuchaj. – Przerwała na moment. – Nie jestem kobietą, jakiej pragniesz. Nie potrafię taka być. Umarłabym w środku, Michael. Zależy mi na tobie, ale nie proś mnie, bym stała się kimś, kim nie jestem.

– Nie wiem, o czym mówisz, Gwen. Nie proszę cię...

– Michael! Nie chcę znów tego wałkować. Wszystko, co mówiłam, było najszczerzą prawdą. Na pewno dobrze pamiętasz moje słowa, więc nie będę się powtarzać. A konkluzja jest taka, że powinieneś znaleźć sobie kobietę, która wie, jak przygotować drinki dla dwudziestu gości. Nie zasługuję na ciebie.

– Gadasz bez sensu – stwierdził wszechwiedzącym tonem adwokata.

– Michael... – Przymknęła oczy. Beznadziejny przypadek, pomyślała.

– Wszystkim zajmujemy się po twoim powrocie – oświadczył.

– Nie – odparła, wiedząc, że i tak jej nie słucha.

– Zadzwoń, żebym wiedział, o której odebrać cię z lotniska. Do zobaczenia, skarbie.

– Do widzenia – mruknęła, odkładając słuchawkę. Poczła narastającą falę smutku i poczucia winy. Choć musiała zerwać z Michaelem, by ratować siebie, w głębi duszy czuła się odpowiedzialna za rozpad tego związku. Coś z nią musiało być nie tak, skoro modelowa wręcz para, za jaką ich miano, wcale nie okazała się taka modelowa.

Spojrzała na Luke'a. Rozbawienie ustąpiło miejsca zrozumieniu. Już łatwiej zniosłaby kpinki czy błaznowanie.

– Nie waż się choćby pisnąć słówka – syknęła i poszła do siebie.

Stała na balkonie w blasku księżyca. Pokryte mchem drzewa cyprysowe wyglądały jak duchy. Wsłuchiwała się w słodki, wyraźny śpiew ptaka, zastanawiając się, czy to słowik. To chyba ich pora, pomyślała. Westchnęła na myśl, że Luke nazwał ją romantyczką. Może i miał rację, lecz to nie czarowna noc czy śpiew słowika nie pozwalały jej zasnąć.

To normalne, że nie możesz zasnąć, zganiała się w duchu. Przecież przespałaś całe popołudnie.

Na jej policzki wystąpiły rumieńce, gdy przypomniała sobie powód tej drzemki. Cóż, zrobiła z siebie idiotkę. Do diabła, Luke musiał tam przyjść? Nie mogła dostać się do domu niezauważona? Dlaczego nie potrafiła zachować przy nim spokoju i godności?

A potem telefon Michaela...

W głębokiej zadumie próbowała poukładać jakoś swe uczucia. Nieraz mu to mówiła, ale Michael nigdy nie słuchał. Wybaczył jej, lecz nie wiedział nawet, jak okrutne rzeczy sam powiedział.

– Nawet mnie nie kocha – szepnęła. – Kocha kobietę, którą chciałby, żebym była.

Ujrzała spadającą gwiazdę. Wstrzymała oddech na widok błysku na niebie. Natychmiast skupiła się na Luke'u. Zawsze czuła przy nim ogromne napięcie, cała płonęła. Wiedziała jednak, że nie mogłaby go utrzymać przy sobie, tak samo jak nocne niebo nie może utrzymać migoczącej smugi światła.

Poczuwszy nagły chłód, wróciła do pokoju. Środek nocy to kiepski moment na rozmyślanie. Postanowiła spróbować tego wstrętnego ciepłego mleka, które zachwalała Monica.

Ruszyła korytarzem, nie zapalając nawet światła. Doskonale знаła drogę i każdy skrzypiący schodek. Zachwiała się nagle, słysząc jakiś dźwięk.

– Mamo! – krzyknęła na widok skradającej się matki. Anabelle złapała się za serce.

– Gwenivere, omal nie dostałam przez ciebie zawału!

– Oddychała głęboko. Miała czarująco rozczochrane włosy, a na sobie fikuśną różową koszulkę z falbankami.

– Dlaczego się tak skradasz po ciemku?

– Nie mogłam zasnąć. Mamo...

– Pewnie umierasz z głodu. Nie powinno się opuszczać posiłków.

– Mamo, co robisz na górze?

– Na górze? – Anabelle rzuciła okiem przez ramię.

– Byłam u Luke'a – odparła z uśmiechem, nie zauważając blednącej twarzy Gwen.

– U... Luke'a?

– Tak. – Bezwiednie przeczesła włosy. – To taki cudowny, nadzwyczaj uczynny człowiek.

Gwen delikatnie ujęła ją za rękę.

– Mamo... – Odetchnęła głęboko, by nadać swym słowom spokojny ton.

– Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

– Czego, kochanie?

– Tej... no... tych... kontaktów z Lukiem? – wyrzekła z trudem.

– Gwen, bez niego nie dałabym sobie rady. – Uścisnęła lodowatą dłoń córki. – Dziecko, jesteś przemarznięta! Wracaj do łóżka. Przynieść ci coś?

– Nie – odrzekła cicho. – Niczego nie potrzebuję... Ty też wracaj do łóżka. Nic mi nie będzie.

– W porządku, kochanie. – Pocałowała córkę w czoło w sposób, jaki Gwen pamiętała z dzieciństwa. – Dobranoc.

– Dobranoc, mamo. – Poczekała, aż matka zamknie za sobą drzwi, i głośno wypuściła powietrze. – Uświadom to sobie, Gwen, zakochałaś się w facecie swojej matki – szepnęła.

Nie wystarczyło nic nie robić, pozwolić zdarzeniom biec swoim torem. Więcej, taka bierność to był ogromny błąd. Przecież mogła temu zapobiec... ale nie chciała. A teraz musiała się z tego wyplątać. Czas podnieść głowę.

Mocnym, twardym krokiem ruszyła na górę, a po chwili zapukała do drzwi Luke'a i usłyszała szorstkie, niecierpliwe:

– Tak? Otwarte.

Zwalczając chęć ucieczki, przekreśliła klamkę i weszła do środka. Tak jak wcześniej, siedział pośrodku swojego bałaganu. Szybko, miarowo, w skupieniu uderzał w klawisze maszyny do pisania. Miał na sobie jedynie sprane, obwisłe dzinsy. W powietrzu unosił się delikatny zapach lilii. Zwilżając usta, starała się nie zwracać uwagi na porozrzucaną pościel.



Kocham go, uświadomiła sobie z całą mocą, przypominając jednocześnie, że nie ma do tego prawa. Musiała znaleźć sposób, by się odkochać, to wszystko. Stłumiła cierpienie, gotowa do działania. Trzymając wysoko głowę, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie.

– Luke, posłuchaj.

– Tak? – Rzucił nieobecnym wzrokiem znad maszyny, nadal pracując. Spojrzawszy na Gwen, natychmiast zmienił wyraz twarzy. Przerwał pracę. – Co tu robisz?

Zabrzmiało to tak niecierpliwie i ostro, że aż przygryzła usta.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Musimy porozmawiać.

– O tej porze? Jestem trochę zajęty, Gwen.

– Luke, proszę. To ważne.

– Podobnie jak moje zdrowie psychiczne – mruknął.

Przezesłała włosy. Zdrowie psychiczne? To ona postradała zmysły w chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy. A potem...

– Utrudniasz sprawę.

– Ja? – Odchylił się ze złością. – Ja utrudniam? Czy wiesz, jak na mnie patrzysz? Zauważyłaś, ile razy byłem przy tobie, gdy byłaś prawie naga? – Bezwiednie dotknęła swojego dekoltu. – W przeciwieństwie do obiegowej opinii – podszedł do niewielkiego stolika po drugiej stronie pokoju – jestem zwykłym śmiertelnikiem, którym targają ludzkie instynkty. – Nalał sobie spory kieliszek brandy – Niesamowicie cię pragnę. Czy nie jasno się wyraziłem?

Gwen poczuła, jak łzy zaciskają jej gardło.

– Przepraszam, nie chciałam... – Głos się jej załamał.

– Na miłość boską, nie płacz! – rzekł niecierpliwie – Nie mam nastroju na tulenie, pocieszanie i całowanie, a potem odprawienie cię do pokoju. Jeśli cię teraz dotknę, zostaniesz do rana. – Ich oczy się spotkały. Gwen próbowała

powstrzymać ły. – W tej chwili rządzi mną moja zwierzęca natura. Powiedziałem ci już kiedyś, że mam pewne granice. Znalazłem się właśnie niebezpiecznie blisko ich przekroczenia. – Dolał sobie brandy.

Zawładnęło nią pożądanie. Pragnął jej. Czują to. Tak łatwo byłoby zrobić jeden niewielki krok... ukraść tę noc, tę chwilę. Byłaby to noc spełnienia i obfitości. Tylko poranek byłby pusty. Bo przecież pragnęła nie tylko zaspokoić swoją namiętność. Pragnęła prawdziwego uczucia. A tego Luke nie mógł jej dać.

Miłość ogłupiła kolejną kretynkę, pomyślała z rezygnacją. Cóż, musiała to jak najszybciej skończyć.

– To dla mnie niełatwe, Luke. – Choć udało jej się odzyskać spokój, w oczach czaiła się rozpacz. – Musimy porozmawiać o Anabelle. – Patrzyła, jak w milczeniu podszedł do drzwi balkonowych i zapatrzył się w ciemność. – Niepotrzebnie wmieszałam się w wasze sprawy. Nie powinnam była tu przyjeżdżać, niepotrzebnie uznałam, że mam prawo decydować o tym, z kim moja matka powinna się spotykać.

Luke przeklął i zwrócił się do Gwen. Widziała, jak usiłuje się opanować.

– Wariatka z ciebie! Anabelle to piękna kobieta...

– Pozwól mi skończyć. Muszę to powiedzieć. Nie przerywaj mi. – Nadal stała oparta o drzwi, gotowa do ucieczki. Luke wzruszył ramionami, usiadł i pozwolił jej mówić dalej. – Nie mam prawa decydować o tym, co jest dobre dla mojej matki. Jesteś dla niej dobry, to nie ulega wątpliwości. Nie ulega też wątpliwości, że mi się podobasz, lecz tego nie da się zmienić, utrzymując dystans. Myślę... myślę, że jeśli do końca mojego pobytu tutaj będziemy się trzymać z dala od siebie, wszystko jakoś się ułoży.

– Naprawdę tak sądzisz? – Roześmiał się, odstawiając kieliszek. – Zadziwiający tok myślenia. – Potarł nos.

Gwen uznała ten gest za całkiem nie na miejscu.

– Za tydzień wyjeżdżam. Nic tu po mnie. Mam w Nowym Jorku kilka niezamkniętych spraw. – Odwróciła się do drzwi.

– Gwen – zatrzymał ją, lecz nie była w stanie się odwrócić. – Nie trać czasu na Michaela.

– Nie mam takiego zamiaru... – Zaślepiąca przez łzy, otworzyła drzwi i zniknęła w ciemnym korytarzu.

RS

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ubierała się w skupieniu. Przedłużała czynność, guzdrając się przy zapinaniu jasnej, lawendowej bluzki. Po prawie bezsennej nocy wiedziała, że nie przetrwa ani dnia dłużej w tym samym domu co Luke. Gdy chodziło o miłość, nie potrafiła być wyrafinowana, dojrzała czy refleksyjna.

Wyciągnęła z szafy walizkę.

Kiedy dwie kobiety kochają tego samego mężczyznę, jedna z nich musi przegrać. Gdyby chodziło o kogoś innego, walczyłabym, myślała Gwen. Lecz jak córka mogłaby walczyć z matką? Nawet jeśli wygra, to tak naprawdę przegra. Właściwie to nie przegrałam, dywagowała, wyciągając ubrania z komody. Najpierw trzeba coś mieć, by przegrać. A ja nigdy nie miałam Luke'a.

Nie myślała o tym, co będzie robić w Nowym Jorku. Nie liczyła się ani przeszłość, ani przyszłość, tylko teraźniejszość. Po prostu musi posprzątać cały ten swój życiowy bałagan.

– Gwen... – Anabelle uchyliła drzwi. – Widziałaś może... Ojej! – Przekroczyła próg. – Pakujesz się? Co to ma znaczyć?

– Muszę wracać. – Z trudem zdobyła się na beztroski ton.

– Aha... Przecież dopiero co przyjechałaś. Wracasz do Michaela?

– Nie, nie wracam do niego.

– Rozumiem. Masz kłopoty w pracy?

Wymówka była idealna. Gwen już miała przytaknąć, lecz nie zdołała skłamać.

– Nie.

Anabelle zmrużyła oczy, potem zamknęła drzwi.

– Wiesz, że lubię wszystko wiedzieć, a ja wiem, jak cenisz sobie swoją prywatność, ale... – Podeszła do córki. – Lepiej, żebyś mi powiedziała, o co chodzi.

– Mamo, to takie skomplikowane...

– Nie może być aż tak źle. Powiedz całą prawdę. Tak będzie najlepiej.

Gwen odetchnęła głęboko, po czym rzuciła szybko:

– Kocham Luke'a.

– I... – zachęciła Anabelle.

– Mamo... – Popatrzyła jej w oczy. – Mamo, powiedziałam właśnie, że zakochałam się w Luke'u.

– Tak, słyszałam. Czekam, aż opowiesz mi o tych wszystkich komplikacjach.

– Mamo! – Co się dzieje? Matka po prostu się uśmiechała. – Nie jest to zwykle zauroczenie. Ja naprawdę go kocham.

– To dobrze. To bardzo dobrze, córeczko.

– Chyba mnie nie rozumiesz. – Na moment ukryła twarz w dłoniach. – Chciałam się z nim kochać...

Anabelle się zarumieniła.

– Cóż... to naturalne. Nie rozmawiałyśmy nigdy o... bocianach i kapuście.

– Rany, mamo! – rzuciła niecierpliwie Gwen. – Nie potrzebuję lekcji o seksie. Wiem wszystko, co trzeba wiedzieć.

– Aha... – Anabelle uniosła brwi w geście matczynego potępienia. – Rozumiem.

– Nie, nie chodzi mi o... – Jakim cudem zdołały tak odbiec od tematu? – Mamo, proszę cię, to dla mnie wystarczająco trudne. Przyjechałam tu, by pozbyć się Luke'a, lecz nim się spostrzegłam, sama się w nim zakochałam. Nie planowałam tego, nie chciałam. Nigdy bym cię nie zraniła. – Przerwała na

moment. – Myliłam się. Różnica wieku nie ma znaczenia. Nikt nie ma prawa decydować, co jest dobre dla innej osoby. Muszę wyjechać, bo kocham was oboje, rozumiesz?

Anabelle z uwagą przyglądała się zrozpaczonej córce, wreszcie zmarszczyła czoło i powiedziała:

– Może za chwilę zrozumiem. Właściwie to nie. Nic nie rozumiem. Proszę, zacznij jeszcze raz od początku. Może od tego, jak przyjechałaś tu, by pozbyć się Luke'a. W tym miejscu mi się poplątało.

Gwen pociągnęła nosem.

– Chciałam, żeby się stąd wyniósł, bo uważałam, że nie powinnaś z nim być. Ale to nie był mój...

– Co takiego?! – Anabelle już chciała pogłaskać ją po głowie, ale się powstrzymała. – Być z nim? – Zamrugła gwałtownie. – Z Lukiem? Ja z Lukiem? – Wybuchnęła radosnym, beztroskim śmiechem. – Jakie to rozkoszne! Kochanie, pochlebiasz mi. O rany! Naprawdę czuję się dowartościowana. – Zarumieniła się lekko. – Taki przystojny, młody mężczyzna. Musi być... cóż, jakiś rok czy dwa młodszy ode mnie. – Zachichotała z tego żartu, klasnęła w dłonie, po czym serdecznie ucałowała Gwen. – Dziękuję, dziecko kochane. Nie pamiętam już, kiedy słyszałam coś równie miłego.

– Tym razem ja nic nie rozumiem. – Gwen starła łzę z oka. – Ty i Luke nie jesteście kochankami?

– Ojej! – Anabelle przewróciła oczami. – Ależ ty jesteś bezpośrednia!

– Mamo, proszę cię, bo zaraz zwariuję. – Zaczęła się przechadzać po pokoju. – Bez przerwy pisałaś o nim w listach. Mówiłaś, że odmienił twoje życie, że jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego znasz, że nie dałabyś sobie bez niego rady. A zeszłej nocy wymykałaś się z jego pokoju. I jakoś dziwnie

się zachowywałaś... Tylko nie zaprzeczaj! – Spojrzała na nią surowo. – Zamykałaś się w pokoju, wypychałaś mnie z domu pod najbłahszym pozorem...

– Ach tak. Zaczynam rozumieć. Głupio zrobiłam, że nic ci nie powiedziałam. – Anabelle wyciągnęła bluzkę z walizki i zawiesiła ją z powrotem w szafie. – Moja wina, ale chciałam zrobić ci niespodziankę. Biedne dziecko, nic dziwnego, że byłaś taka smutna i zdezorientowana. Myślałam, że rozmyślasz o Michaelu, ale to przecież nie o niego chodziło... Jak się teraz zastanowię, to widzę, co mogłaś sobie myśleć. Nie jesteśmy z Lukiem kochankami, choć dziękuję, że przyszło ci to do głowy. – Znow się roześmiała swobodnie. – My z sobą współpracujemy. Usiądź, proszę.

– Zaraz zacznę krzyczeć! – stwierdziła bliska hysterii Gwen.

– Jak zwykle niecierpliwa, cała moja córeczka. Cóż, to trochę krępujące. Głupio się czuję. Mam nadzieję, że nie będziesz się ze mnie śmiała. Ja... piszę powieść – wyznała pośpiesznie.

– Co takiego?! – Gwen była pewna, że słuch jej szwankuje.

– Zawsze chciałam coś napisać, ale nigdy w siebie nie wierzyłam, dopóki Luke mnie nie zachęcił. – Już nie była zażenowana, tylko pełna ekscytacji. – Zawsze miałam w głowie tyle pięknych historii, ale nie mogłam się zdobyć na odwagę, by je spisać. Luke mówi... – uniosła dumnie głowę – no więc mówi, że mam prawdziwy talent.

– Talent?

– Czy to nie miłe z jego strony? – Rozpromieniona Anabelle powiesiła sukienkę Gwen w szafie. – Bardzo mi pomaga. Poświęca dużo czasu, zachęca do pracy. Nie denerwuje się, gdy wpadam do jego pokoju z nowym pomysłem. To prawda, czasami mnie zbywa, gdy zbyt pochłania go praca, i umawia się na później, ale ostatniej nocy przerwał pisanie, by mnie wysłuchać.

– Słodki Jezu! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Chciałam ci zrobić niespodziankę. Szczerze mówiąc, bałam się, że mnie wyśmiejesz. – Zaczęła starannie układać bieliznę Gwen. – Ojej, jaka piękna tkanina. W Nowym Jorku są fantastyczne sklepy. Ale to musi strasznie kosztować.

– Owszem, ale warto. Masz problemy, mam? Zawsze mogę ci...

– Och, daj spokój. Ale wiesz, Luke twierdzi, że jak już skończę moją powieść, powinnam ją sprzedać. To nieco płytkie, nie sądzisz?

– Mamo... – Gwen przymknęła oczy.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam i zamykałam przed tobą drzwi. I że wyganiałam cię z domu. Nie jesteś na mnie zła, co?

– Nie, nie jestem zła. – Roześmiana spojrzała matce w oczy. – Rany! Zrobiłam z siebie potworną idiotkę!

– Uścisnęła ją. – Jestem z ciebie dumna, mam. Naprawdę.

– Za wcześnie na pochwały. Jeszcze nie czytałaś książki.

– Nie muszę, by być z ciebie dumna. I nie uważam, że jesteś śmieszna. Jesteś cudowna! Luke ma rację. Jesteś naprawdę piękna.

– Luke tak powiedział? Fajnie. – Poklepała córkę po ramieniu i udała się do drzwi. – No to wszystko sobie wyjaśniłyśmy. Wpadnij do mnie, jak się już rozpakujesz. Dam ci przeczytać pierwsze rozdziały.

– Mamo... – Pokręciła głową. – Nie mogę zostać...

– O, Luke! Nigdy nie uwierzysz, jakiego bałaganu narobiłyśmy.

– Serio? – Spojrzał na Gwen ponad ramieniem Anabelle, a następnie rzucił okiem na walizki. – Wybierasz się gdzieś?

– Owszem.

– Nie – odparła równocześnie Anabelle. – Już nie. Chciała wrócić do Nowego Jorku, ale wszystko już sobie wyjaśniłyśmy.



– Mamo – rzuciła Gwen ostrzegawczo.

– Wszystko jej wyznałam. – Anabelle uśmiechnęła się szeroko do Luke'a.

– Wie już o moim tajemnym zatrudnieniu. Biedne dziecko myślało, że mamy romans.

– A nie mamy? – Luke ucałował dłoń Anabelle.

– Ty diable! – Poklepała go po policzku. – Muszę lecieć, ale Luke chętnie posłucha, co mi mówiłaś o romansie.

– Mamo!

– Na twoim miejscu zamknęłabym drzwi – zasugerowała Luke'owi Anabelle. – Gwen lubi prywatność.

– Już się robi. – Znów ucałował jej dłoń, a gdy migiem opuściła pokój, powiedział czule: – Cudowna kobieta z twojej mamy. – Zamknął drzwi, przekręcił klucz i wsunął go do kieszeni. Gwen uznała, że lepiej zrobi, jeśli tego nie skomentuje. – A teraz mów, jak opowiadałaś Anabelle, że jesteś we mnie zakochana.

Spoglądając w jego spokojne oczy, Gwen wiedziała, że to nie będzie łatwe. Złością niczego nie wskóra, dopóki on ma klucz. Musiała zachować spokój.

– Jestem ci winna przeprosiny – stwierdziła, podchodząc do szafy. Chwyciła sukienkę i odłożyła ją z powrotem do walizki.

Luke nadal stał przy drzwiach, uważnie przyglądając się Gwen.

– Za co konkretnie?

– Za to, co myślałam o tobie i mamie.

– Przepraszasz za to, że połączyłaś nas w parę? – Luke wreszcie się uśmiechnął, w jego głosie pobrzmiwała satysfakcja. – Uznałem to za komplement.

Odwracając się powoli, Gwen postanowiła zachowywać się, jakby nic się nie stało. Nie mogła się już czuć bardziej upokorzona.

– Wiem, że zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Wiem też, że zasłużyłam sobie na to, by czuć się głupio. Wygląda na to, że już pierwszego dnia postanowiłeś dać mi nauczkę. Nigdy nie potwierdziłeś, że masz z moją matką romans, mówiłeś tylko, że to nie moja sprawa. W tamtym czasie powodowały mną inne uczucia. – Przerwała na moment, natomiast Luke oparł się wygodnie o łóżko. – Ty miałeś rację, ja się myliłam. To faktycznie nie mój interes. Udało ci się dać mi nauczkę, pozwalając, bym sama do tego doszła. Przyczyniło się do tego dziwne zachowanie mamy i jej zauroczenie twoją osobą. Mogłeś oczywiście oszczędzić mi zmartwień i upokorzeń, wyjaśniając, jak stoją sprawy, lecz postanowiłeś udowodnić mi swoje racje. Odrobiłam lekcję, panie Powers. Uczyłam się od mistrza. Teraz chciałabym się stąd wydostać i prosić, byś dał mi spokój. Życzę sobie tylko jednego, a mianowicie już nigdy ciebie nie widzieć. Cieszę się, że mieszkamy na dwóch krańcach kontynentu.

Luke dumiał przez chwilę, wreszcie oznajmił:

– Mogę prosić o kopię tej przemowy? Gwen obróciła się. Jej spojrzenie płonęło.

– Ty bezduszny, napuszony chamie! Wystarczy już tego płaszczenia się! Czego jeszcze ode mnie chcesz? Jak nic, to tam jest próg!

– To było płaszczenie? – Zdumiony uniósł brwi. – Fascynujące. Chcę jeszcze, byś wyjaśniła mi kwestię, którą poruszyła Anabelle. Zaciekawiało mnie to.

– Chcesz mnie kompletnie pograżyć, tak? – Z hukiem zamknęła jedną z walizek. – W porządku! Nie ma to już żadnego znaczenia. Kocham cię. Do

czego ci się teraz przyda ta wiedza? – Wysoko uniosła głowę. – Już wiem. Opisziesz moją głupotę w nowej powieści, tak?

Wzruszył ramionami, po czym rzucił niedbale:

– Nie, po prostu cię poślubię.

Zszokowana Gwen stanęła jak słup soli, wreszcie syknęła:

– To niezbyt zabawne, nie sądzisz?

– Fakt, małżeństwo to nie zabawa. Choć czasem bywa wesoło.

Wszystkiego dowiemy się w swoim czasie. – Oparł jej dłonie na ramionach. – Niebawem.

– Nie dotykaj mnie – wyszeptała, próbując uwolnić się z jego uścisku.

– Przeciwnie, będę cię dotykał. – Obrócił ją do siebie.

– Będę robił też dużo innych rzeczy. Ty wariatko! – rzucił ostro, widząc łzy w jej oczach. – Nie widzisz, przez co przechodzę?! Pragnę cię od chwili, gdy cię ujrzałem. Stałaś tam uśmiechnięta, a mnie się zdawało, że dostałem obuchem w głowę. Fakt, chciałem dać ci nauczkę, ale nie spodziewałem się, że i ja się czegoś dowiem. Nie spodziewałam się, że wychudzone dziewczę tak zawładnie moim umysłem, że nie będę jej mógł stamtąd wyrzucić. – Przyciągnął ją do siebie. – Kocham cię jak szalony... – Złożył na jej ustach namiętny pocałunek.

To musi być sen, myślała oszołomiona Gwen. To nie może być prawda. Zarzuciła mu ramiona na szyję pełna nadziei, że ten sen nigdy się nie skończy.

– Czyżbym śniła? Luke, powiedz, że to prawda...

– Popatrz na mnie. – Uniósł jej brodę.

– Luke... – Ujrzała w jego oczach odpowiedź.

– Och... – Roześmiała się jak szalona.

– Wygląda na to, że cię zaskoczyłem.

Położyła mu głowę na ramieniu, przytuliła się mocno.

- Zaskoczona? Po prostu szaleję z radości! Rany, jak w ogóle do tego doszło?
- Nie mam bladego pojęcia. – Ucałował ją delikatnie w czoło. – Nie planowałem się w tobie zakochać.
- Dlaczego? – Potarła policzkiem o jego policzek.
- Jestem całkiem fajna, ludzie powiadają też, że i owszem, niebrzydka – droczyła się.
- A przy tym bardzo jeszcze młoda... – Wdychał zapach jej włosów. – Zdajesz sobie sprawę, co robiłem, gdy miałem tyle lat co ty teraz? Pracowałem nad drugą powieścią, a ty w tamtym czasie bawiłaś się lalkami.
- Dzieli nas kilka lat, a nie dwadzieścia – odrzekła, wsuwając mu rękę pod koszulę. – To niezbyt wielka różnica wieku. Nie kierujesz się chyba podwójną moralnością?
- Nie chodzi tylko o lata. Jesteś taka niewinna, taka czysta. Pożądanie doprowadzało mnie do szaleństwa. Miłość do ciebie tylko pogarszała sprawę. – Pocałował ją delikatnie za uchem. – Jeszcze zeszłej nocy mówiłem sobie twardo, że nie wykorzystam twojej niewinności. I w pewnym stopniu wciąż się tego obawiam...
- Mam nadzieję, że pozostała część tego stopnia jest bardziej rozsądna. – W jej oczach tańczył przekorny diabełek.
- Mówię poważnie.
- Ja również, choć bardzo mi wesoło. Odkup od Bradleya mój portret, jeśli zależy ci na nim, a nie na dobrej inwestycji.
- Już to zrobiłem. – Z uśmiechem pocałował jej palce. – Myślisz, że bym pozwolił, by miał go ktoś inny?
- Mnie też możesz mieć. Luke, jestem kobietą, a nie dzieckiem czy obrazem. Kocham cię. Pragnę cię. – Uniosła się na palcach, by go pocałować.

W tej pieszczocie zalała ją fala miłości. Przytuliła się do niego, oferując całą siebie.

A jednak odsunął się od niej.

– Gwen... – Potrząsnął głową. – Nie potrafię zapomnieć, że jesteś córką Anabelle, którą tak bardzo szanuję, a ona mi ufa.

– Po prostu zapomnij. Pomogę ci w tym. – Czuła szybkie bicie jego serca. Rozkoszowała się poczuciem siły. – Nie zamierzasz mnie zbałamucić? – Znów te tańczące diabełki w jej oczach...

– To się rozumie samo przez się. – Pocałował Gwen w nos. – Ale po ślubie.

– Masz rację – przytaknęła mu ochoczo. – To bardzo rozsądne – oznajmiła z podejrzaną powagą. – Właśnie za to podziwiałam Michaela. Zawsze był rozsądny.

Oczy Luke'a zwięzły się.

– A niech cię! Diablica w skórze niewinnego aniołka... – Uśmiechnął się mimowolnie, patrząc w jej figlarne oczy. – Cholerny Michael... Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałem wyrwać telefon ze ściany, gdy z nim rozmawiałaś?!

– Oho, czyżby ktoś tu był zazdrosny? – ucieszyła się.

– Można tak powiedzieć – mruknął.

– Cóż... – Powstrzymała uśmiech. – Chyba cię rozumiem. Jak mówiłam, to bardzo rozsądny człowiek. W porządku, założę się, że jesteś tak samo rozsądny.

Luke przyjrzał się jej uważnie, lecz dostrzegł tylko powagę na jej twarzy.

– Twierdzisz, że nie potrafiłbym całować cię tak, byś straciła zmysły?

– Spróbuj.

– I tak nie zdołałbym się powstrzymać... – Przyciągnął ją do siebie.